



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

POGA WĘDKA.

Zostałem w tych czasach zaszczycony liścikiem jakiejś autorki *in spe*, która, zapewniając mnie uroczyście, iż chowa w piersiach prawdziwą „iskrę świętą” i pragnie ją rozdmuchać niebawem w cały znicz poezyi, tymczasem radaby wpierv zdecydować się na jakąkolwiek stałą, racjonalną i obowiązującą naukowo... pisownię.

„Chciałabym wiedzieć, jak poprawnie pisać należy, zanim moje myśli rozsądne czy nierozsądne przelewać zaczęę na papier, — wyznaje otwarcie — a ponieważ błąkam się dotychczas jeszcze ciągle po tych ortograficznych manowcach i nie wiem na pewno, jak właściwie powinien imię moje z liter układać: Marya, Maria, Marja, czy Maryja, zatem udaję się do Szanownego Pana, abyś mi wskazał źródło, u którego mogłabym tych wiadomości zacytować.”

Westchnąłem ciężko, liścik — nawet pachnący — złożyłem we czworo i zadumałem się nad odpowiedzią.

Albo ja wiem: kogo tej mojej ciekawej korespondentce zalecić?

Podobno Akademia (Akademja czy Akademija?) Umiejętności w Krakowie ułożyła eklektycznie jakieś prawidła dla zaradzenia tymczasowej potrzeby; nie tylko je ułożyła, ale już nawet wydrukowała, — nie miałem jednak w ręku dotąd tych postanowień, mających „prowizorycznie” rozstrzygnąć sprawę.

Coś tam piąte przez dziesiąte czytałem w naszych dziennikach i co do mnie, byłbym gotów dla dobrego przykładu a świętego spokoju poddać się odrazu wyrokom, zaleceń czy tylko radom i wskazówkom najwyższej naukowej instytucji, byle

raz ta sprawa pisowni ujednolajnionej stanęła u celu; o mnie jednego wszelako nie chodzi, a reszta, jak dotąd uważałem, robi mię bardzo wątpliwą.

Czytałem nawet w jakimś dzienniku oświadczenie, iż pomimo uznania dla naukowej powagi Akademii, pisowni swojej dotychczasowej nie zmieni; z kilkoma literatami omal się nie nadziałem na stółki podczas zapalanej rozprawy na temat: „co zrobić z tym ortograficznym fantem, — zaś moja córka oświadczyła mi stanowczo, że nie myśli wcale kreskować pochylonego *e*, ponieważ tego jej na pensyi nie kazali, a że Akademia stopni nie daje, tylko pan professor, *ergo* słuchać będzie pana profesora i basta.

Widzę z tego wszystkiego, że chaos pozostanie nadal chaosem, pomimo ogłoszenia prawideł, bo nasze stare *liberum veto* nie zginęło doszczętnie i odzywa się choćby w dziedzinie grammatyki.

Zdaje mi się, że ani takich mędrców i filozofów, ani takich Akademii i referatów nie znajdzie na świecie, by wszystkich zadowolić i przekonać: zawsze ktoś się trafi, co będzie miał do zarzucenia to i owo, a w końcu, jako najważniejszy argument powie:

— Ja tak a tak pisałem, piszę i pisać będę!...

Na upór niema lekarstwa.

Wszystcyśmy się uczyli pisać według jakiegoś ortografii, tylko nie według jednej i tej samej, więc ztąd ta rozmaitość, ten podział zdań i poglądów, a że w dojrzałym wieku człowiek się staje na wielu punktach konserwatystą, zwłaszcza na punkcie „przeuczania się, — zatem ze smutkiem wyznaje, iż nie mam wielkiej nadziei, aby panna Maryja, czy Marja, czy Maryja rychło dowiedziała się, nie tylko odemnie, ale od kogokolwiek, jak właściwie jej imię pisać należy.

Będziemy mieli opozycjonistów nieustannie, którzy nie poddadzą się poprostu dlatego, że ich zdanie nie będzie na wierzchu, ich widzimisię, ich przyzwyczajenie nie utrzyma się wobec zalecanej ogółowi zasady.

— Mnie się to nie podoba! — będzie ostatecznym argumentem, zwłaszcza gdy sprawa wejdzie na grunt polemiki i gdy się obrońcy rozmaitych kierunków zacietrzewią.

O karności niema u nas mowy.

Co do mnie — (przepraszam, że ja tak często o sobie mówię, nie będąc z zawodu filologiem), godzę się najzupełniej z tą garstką nieprzejednanych, ale zgodnych, którzy oświadczenia:

— Nie uznajemy wszystkich zaleconych przez Akademią prawideł ujednolajnionej pisowni, będziemy się o rzeczy sporne spierali, jednak do czasu rozstrzygnięcia sporu przyjmujemy ortografią Akademii.

Zdaje mi się, że to najlepszy środek do umniejszenia chaosu i zejścia z manowców na jakieś szersze gościniec; ale i przeciw temu słyszałem już głosy bardzo namiętne.

Jeden z bardzo potulnych literatów, nie chcąc się nikomu narażać a wszystkich pogodzić, dał mi taką radę:

— Rób, jak ja, mój drogi; używaj wszelakich sposobów pisania, kreskuj, nie kreskuj na przemian, dawaj rodzajowe zakończenia, nie dawaj, używaj raz joty, drugi raz yspylonu, pisz i tak, i siak, przecież to pójdzie do druku, a w każdym piśmie korektor już to potem ujednolajni tak, jak mu się podoba, bo przecież kwestya pisowni w druku nie jest u nas wyrozumowaną zasadą, tylko najczęściej kwestya korektorską.

Nie mogłem się dobrze połapać, czy mój kolega mówił to na seryo, czy z odcieniem złośliwości, ale zdaje mi się, że powoli zejdziemy wszyscy na jego podwórko, jeżeli nie doprowadzimy do jakiegokolwiek porozumienia.

Pod tym względem stanowimy dziś chyba wśród oświeconych narodów w Europie jedyny przykład takiej ortograficznej wieży Babel.

Drugi list dostałem również kobiecą ręką piśnianą, która w nim postawiła mi takie zapytanie:

„Nie wie też Szanowny pan, który tyle książek

niał w ręku, czy powieść: „Pokonany przez miłość“, zdaje mi się z angielskiego, ale nie pamiętam autora, była już tłumaczoną na polskie, czy jeszcze nie?...”

Ta rączka dotknęła drugiego ciernia, który mnie kole oddawna, a nazywa się kwestyą tłumaczeń i tłumaczek; powtarzam „tłumaczek“, bo one niemal wyłącznie wzięły teraz w monopol uszczęśliwianie naszej literatury przekładami ze wszystkich możliwych języków ludzkich.

Z temi tłumaczkami i tłumaczeniami miałem przez tyle lat tyle kłopotu i, niestety, mam jeszcze, że radbym w tej sprawie zaprowadzić jakąś reformę.

Z małemi wyjątkami biorą się u nas do nicowania powieści z jednego języka na drugi osoby, które żadnego z nich dobrze nie znają; literaci z zawodu bardzo rzadko, w ostatnich czasach prawie nigdy tłumaczeniami się nie zajmują, bo szkoda im czasu na robotę, za mało się opłacają.

Poświęcają się zatem temu dyletanci i dyletantki, którzy najczęściej, jako zarobek dodatkowy do swoich innych zajęć traktują tłumaczenie powieści.

Nie chodzi im o to, aby rzecz była dobrą, nie czynią wyboru, bo albo tego nie umieją sami zrobić, albo się nie znają na rzeczy: biorą pierwszą lepszą książkę jaka im w ręce wpadnie, byle nie była tłumaczoną, i dalej — smarują pięćdziesiąt arkuszy papieru ohydny najczęściej piśmem, śpiesząc się, jakby im na karku siedziało stu współzawodników, niosąc zadyszani taki manuskrypt do pierwszej lepszej redakcji i zanudzają redaktorów i wydawców póty, póki na odczepne nie przyjmie się tego do druku.

Wtedy dopiero zaczyna się pokuta za swoją pobłażliwość i dobroć: bierz, czytaj, poprawiaj, skracaj, i przygotuj do druku „tłumaczenie“ pana X. czy pani Y., która w połowie powieści, przychodzi z najzimniejszą krwią zaproponować ci... nowe tłumaczenie.

Mniejsza o to zresztą: to wszystko należy do kłopotów i tajemnic redakcyjnych, które czytelnika nie nie obchodzą. Obchodzi go natomiast w jego własnym interesie druk, a w tym druku to, co mu najczęściej u nas i najczęściej do spożycia oczyma podają — belletrystyka.

Skutkiem niepowołanego zajmowania się przekładami, pod względem języka i stylu, wychodzą zpod tych kwaczów lichoty najczęściej, wołające o pomstę do nieba; pod względem treści bywają one nie mniej godne spalania w każdym piecu redakcyjnym.

Największa ilość chwastów językowych i myślowych przedostaje się do druku w tłumaczonych u nas powieściach, które stanowią istną tandetę literacką.

Oddałby prassie naszej i czytającej publiczności przysługę ktoś, co by założył agencję dla tłumaczy, podjął się pośrednictwa między nimi a redakcjami, dostarczał pierwszym przekładów już przejrzanych, poprawionych i zaleconych do druku a zarazem prowadził kontrolę utworów tłumaczonych. Jakże często się zdarza, że jednocześnie kilku „nicowaczy“ zabiera się do obrabiania francuskiej lub niemieckiej nowości, potem w odcinku dwóch lub nawet trzech pism drukuje się przekład, a przy braku dokładnej bibliografii tłumaczonych powieści zdarza się i to, że trzeba po kilku felietonach przerwać rozpoczęty lub cofnąć zapowiedziany druk tłumaczenia, które, jak się pokazuje, było gdzieś kiedyś już dekonane przez kogo innego i „ozdabiało“ łamy jakiegoś dziennika lub tygodnika.

Na seryo, agencja taka byłaby potrzebną i mogłaby nawet dawać nie złe dochody, gdyż wszystkie redakcje wnosząby zapewne najchętniej pewną opłatę, byłby tylko uwolniono je od kłopotliwych obowiązków przyjmowania tłumaczy i przeglądania ich elukubracy.

Żyjemy w epoce upraszczania sobie wszystkiego, umniejszania trudów, oszczędzania czasu, a zatem i w tym kierunku moglibyśmy postarać się o pewne ulgi i wygody.

Przypuśćmy, że jestem redaktorem pisma, które potrzebuje dobrej powieści tłumaczonej w tym lub owym rodzaju, a agencja taka istnieje; idę do telefonu i zapytuję:

— Czy macie co tomowego, przyzwoitego, ze szlachetnym romansem, jakiego nowego autora?... macie?... Proszę o podanie treści, rozmiarów, tłumacza i ceny.

Rzecz załatwiona, przysyłają mi do wyboru spis takich rzeczy, krótkie streszczenia, może nawet wyjątki przekładu, i na żądanie dostarczają potem rękopisu za odpowiednim wynagrodzeniem.

Zakrawa to trochę na amerykański sposób redagowania pisma, ale w tym jedynym wypadku głosuję za nim, podnosząc obie ręce do góry.

Zagranicą ludzie wpadają na rozmaite dowcipne pomysły służenia swoim bliźnim i sobie.

W Berlinie np. istnieje agencja, która na żądanie rozsyła swoim klientom wycinki ze wszystkich dzienników w danych przedmiotach; obchodzi kogoś teatr, to się prenumeruje tylko na wiadomości z teatru i codziennie dostarczają mu do domu kopertę z recenzjami, repertuarem, nowinkami zakulisowymi. Innemu w ten sposób przysyłają felietony, innemu wszystkie artykuły z całej prasy o ekonomii, polityce, przemyśle, sztukach pięknych etc. etc.

Prenumerator nie potrzebuje przeglądać sam wszystkich dzienników: robi to za niego agencja i daje mu codziennie w danej kwestyi zbiorową opinię prasy z rozmaitych punktów widzenia.

Dla wygody można nawet jednorazowo tylko zażądać poręczy takiego bigosu dziennikarskiego.

Może u nas który z przedsiębiorczych kantorów ogłoszeń spróbuje zaprowadzić taką nowość?...

Wkrótce powstać ma agencja innego rodzaju, która zaspakając pragnie bardziej cielesne nasze potrzeby, niż duchowe, przez dostawę do domów artykułów spożywczych i gospodarczych.

Biuro to, jak głosi reporterya, podejmuje się na początek dostarczać wszystkim, nawet najdrobniejszym gospodarstwom: pieczywa, węgla, nabiału, mydła, świec, a nawet perfum i sorbetów; w najbliższej zaś przyszłości obiecuje zająć się dostawą mięsa i jarzyn.

Moja kucharka, przeczytawszy tę wiadomość w „Kuryerze“, podziękowała mi odrazu za służbę; przypuszczam, że z powstaniem takiej agencji w Warszawie wiele innych mistrzyń rondla i patelni zrobi to samo — ze złości.

Cóż to się stanie z „koszykowem“, kiedy nie trzeba będzie chodzić codziennie „do miasta“, do sklepu, na targ!... cóż się stanie z pretextem wybiegania z domu po kilka razy, wysiadzania całemi godzinami za Żelazną Bramą?...

Co wreszcie te nasze kucharki robić będą potem, skoro im wszystko samo do rąk wlezie?...

Niech robią, co im się podoba z wolnym od obowiązków czasem, ale niech taki kantor na seryo rozpocznie swoją działalność, nb. nie każąc sobie przepłacać wiktuałów i przysługi, jaką nam gospodarzom i gospodyniom robić zamierza.

Dotychczas węgle, piwo, pieczywo, nabiał mogliśmy już dostawać do domów na zamówienia, i dobrze nam z tem było, ale gdy te wszystkie artykuły z wieloma innemi jeszcze będzie można odbierać razem z jednego miejsca, tem lepiej: rachunki będą uproszczone i zachód mniejszy.

Nie wiem kto wpadł na tak dobry pomysł założenia takiego „kantoru dostawy“, ale dziwię się, że nie przyszedł on do głowy naszemu „Merkuremu“, który ciągle szuka najpraktyczniejszych sposobów popularyzowania jednego u nas stowarzyszenia spożywczego na szerszą skalę — i jakoś znaleźć go nie może, pomimo 110,000 rs. przeszło obrotu w drugim półroczu roku zeszłego.

Co prawda, z ostatniego sprawozdania okazuje się, że w porównaniu z rokiem poprzednim przybyło i członków trochę, i zysk się powiększył, ale pozostaje zawsze jeszcze ta dysproporcja dwóch najważniejszych liczb w bilansie takiego stowarzyszenia, iż przy obrocie 110,000 rs. w ciągu jednego półroczu czysty dochód wynosi — zaledwie 1,719 rs. 38 kop.

Rozumiem to dobrze, że stowarzyszenie takie nie istnieje dla spekulacji i pod tym względem nie może być bezwzględnie porównywane z prywatnemi handlami, które jednak robią od niego lepsze interesa, ale za to powinny dawać swoim członkom korzyści, jakich nie dają sklepy i kupecy zwyczajni, a więc towar znacznie lepszy i ceny niższe.

Zdaje mi się, że wprowadzenie do zarządu trochę

więcej jednostek zawodowych, obeznanych z kupiectwem i handlem tego rodzaju, mogłoby stowarzyszeniu oddać większe usługi.

Można być bardzo dobrym rachmistrzem, buchalterem, urzędnikiem administracyjnym, nawet wykształconym ekonomistą, a nie mieć tego kupieckiego zmysłu praktyczności, który w takich przedsiębiorstwach jest przedewszystkiem warunkiem *sine qua non*.

Na razie zaznaczyć wypada i tę małą poprawę interesów „Merkurego“, która oby była zapowiedzią lepszych jeszcze bilansów na przyszłość, tem bardziej, iż nie wszystkie stowarzyszenia mogą się pochwalić w roku zeszłym nadwyżką.

Oto np. Towarzystwo, które swoim członkom nie dostarcza wprawdzie po tańszych cenach mleczwa, cukru, bułek i herbaty, ale słodszej od tego wszystkiego... muzyki, zamknęło rok zeszły niedoborem, niewielkim, jednak zawsze niedoborem.

Warszawskie Towarzystwo muzyczne w ostatnich kilku latach pod dyrekcją Zygmunta Noskowskiego i opieką gorliwego komitetu rozwinęło bardzo dodatnią swoją działalność i podniosło poziom artystyczny większych i mniejszych wieczorów, na których program i wykonawcy często przewyższają szumnie reklamowane koncerty.

Dzisiaj Towarzystwo ma niejako charakter małego konserwatorium, posiada własną orkiestrę amatorską, chóry duże i małe, szkołę śpiewu i gry na rozmaitych instrumentach, klasę deklamacji, sprowadza słynnych artystów, rozpisuje konkursy — czegoż tu więcej wymagać od niego za tych kilka rubli rocznie, które zwyczajny członek opłaca?...

Prawda, że czasem nie uda się złowienie jakiegoś zagranicznego słowika, któremu tylko piórka zostały a głos się ulotnił, jak to było z p. Etełką Gerster, ale za to zaraz w następnym tygodniu postarano się o zatarcie tego przykrego zawodu wspaniałą uroczystością muzyczną na cześć Szopena, z udziałem takiego pianisty, jak Michałowski oraz orkiestry Teatru Wielkiego.

Potem znów wprowadzono na estradę Sign. Trebelli, czarującą śpiewaczkę włoską i wiołonceлистkę Miss Lucy Campbell.

Pierwsza, nietylko śpiewa tak, że się słuchaczom słodko robi w uszach, ale jest młoda i ładna, a nadto jest bohaterką dwóch sensacyjnych wypadków w ciągu tygodnia, z których cudem tylko ocalała. W Londynie tramway rozbił doróżkę, z której wypadła na bruk, a w drodze do Warszawy spotkał się pociąg, wiozący ją z Berlina, z pociągiem towarowym.

Anglicy lub Amerykanie byliby już dla tego samego zapelnili salę na jej koncercie, aby zobaczyć kobietę, która dwa razy w ciągu tygodnia mogła być zginąć gwałtowną śmiercią; u nas sala była pustą na koncercie panny Trebelli, mimo to, iż śpiewała na dochód Osad rolnych i wprost z wagonu wysiadłszy, pośpieszyła na estradę, byle słowa dotrzymać.

Ta ciekawość naszej publiczności bywa niekiedy zbyt wrażliwą, a niekiedy całkiem nieczułą; co prawda zależy to i od tego, w jaki sposób może ją zaspokoić.

Major japoński Fuku-Szima, który nie obawiając się losu Seytów, przedsięwziął konno podróż z Berlina nad m. Żółte i przejeżdżał przez Warszawę, ścigał na siebie uwagę całego miasta, bo pokazywał się *gratis*, ale już „żywa syrena“, jedyny pono okaz złowiony w jakimś kolorowym morzu i pokazywany w jakimś budzie nie sprawiła żadnego wrażenia w syrenim grodzie, dlatego, że jej obejrzenie kosztowało 20 kopiejek.

„Żywa syrena“ podszywała się tylko pod kuzyństwo z Warszawy, bo przedewszystkiem była wypchana, podrobiona i nie mogła żadnemi dokumentami udowodnić, iż jest na prawdę urodzoną w morzu i należy do nadzwyczajnych potworów państwa rybiego.

Obecnie publiczność nasza znalazła sobie inny przedmiot podziwu i zachwytów; jest nim gladiator cyrkowy, rodak nasz Pytłasiński, który mocuje się co wieczór w arenie z rozmaitymi siłaczami i kładzie ich jednego po drugim.

W zeszłym tygodniu, gdy powalił jakiegoś szwajcarskiego Samsona, widzowie wtargnęli na

arene i obnosili zwycięzcę na rękach — z entuzjazmu.

Przypomniała mi się Roma klasyczna, ale plebs współczesny.

Mój Boże, jacy my bywamy ambitni i dumni z naszych — siłaczy cyrkowych!...

Zmieniam temat i wracam jeszcze na chwilę do muzyki, aby zapisać w tym miejscu fakt, na który nasi reżenerzy za mało jakoś zwrócili uwagi na koncercie sympatycznego dyrektora takiejże „Lutni“, p. Piotra Maszyńskiego.

Tymczasem lutniści sprawili nam miłą niespodziankę i wyprowadzili na estradę... hufiec lutnistek; usłyszeliśmy tedy pierwszy chór amateerek, które stanowią mają piękny zawiązek „Lutni“ żeńskiej.

I dobór osób „z towarzystwa“, i dobór głosów, i muzyczne wykształcenie wielu przyszłych lutnistek w tem amatorskim gronie bardzo korzystnie sprawiły wrażenie.

Za ten eksperyment należał się p. Maszyńskiemu osobny okłask na jego własnym koncercie kompozytorskim i dyrektorskim, po którym jednak kilku naszych Zoilów wzięło go na stalówki, jakgdyby zamiast melodyjnych piosenek i kwartetów uraczył słuchaczy kocią muzyką.

Czy my nie jesteśmy za surowi i zawiele wymagający od swoich?... może i nie, tylko nie mamy stałej miary i jednych przechwalamy, drugich przeganiamy.

Geniusz albo lichota; w tych dwóch granicach najczęściej zatacza się krytyka i sąd publiczności, a tymczasem w pośrodku jest jeszcze tyle miejsc, na którym miałyby prawo stanąć niejedna zdolność i niejedna użyteczność w sztuce, czy w literaturze.

Obowiązkiem poważnej a sprawiedliwej krytyki jest właśnie wyznaczanie każdemu takich miejsc przynależnych a spychanie tylko tych na niższe stopnie, którzy się sami za wysoko pną i sięgają po laury, do których nie dorośli.

Kurier Warszawski urządził rodzaj plebiscytu w sprawie drażliwej dla naszych... powieściopisarzy. Zobaczymy tedy, o ile *vox populi* różni się od przysięgłej krytyki; redakcyja tego pisma zażądała bowiem odpowiedzi na pytanie: które trzy powieści polskie uważają czytelnicy za najcenniejsze?...

Tenżesam *Kurier* postawił ludziom jeszcze drugą kwestyę, o wiele ważniejszą i żywotniejszą, a mianowicie: jakie zawody i zajęcia u nas zapewnić mogą utrzymanie kobiecie, pozbawionej pomocy rodziny, męża, lub krewnych?

O trzy najcenniejsze powieści mniejsza; pod tym względem trudno będzie dojść do porozumienia, zwłaszcza, że pytanie obejmuje ogromny obszar całej naszej belletrystyki, ale w tej drugiej kwestyi każdy głos jest pożądaną wskazówką i dobrze-by było, aby ich jak najwięcej się odezwało.

Kobietom naszym potrzeba jasnego poglądu na tak zwaną praktyczną stronę ich życia, na rodzaje pracy, zajęć i zarobkowania, na zawody, któreby im najłatwiej i najpewniej zabezpieczyć mogły własny kawałek chleba.

Przyznam się, że choć nie jestem kobietą, z ciekawością wyciekiwać będą wyników tego kwestyonaryusza.

Na zakończenie muszę dorzucić chociaż słów kilka o nowościach, które wyszły spod tłoczni drukarskich. Oto jakby aktualnością wydawnictwa na post bieżący, jest znakomite i rozgłosne dzieło Ojca Didona: „Jezus Chrystus“, w tłumaczeniu J. Exc. biskupa Kossowskiego, dwa tomy, starannie wydane nakładem Gebethnera i Wolffa. Mało książek w tym rodzaju posiada literatura wszechświatowa.

Ogromny volumen stanowi wydawnictwo „Przeglądu pedagogicznego“, które zajmie zapewne wszystkich wychowawców i rodziców; mówię o p. Wł. Dawida: „Nauce o rzeczach“ z podaniem jej historycznego rozwoju, podstaw psychologicznych, metody, oraz co najważniejsza praktycznych wskazówek we wzorach lekcji.

Z Petersburga nadeszły już dwa tomy zbiorowego wydania „Pism“ Włodzimierza Spasowicza; ogółem polskich prac znakomitego pracownika, krytyka, historyka oraz publicysty zbierze się tomów sześć.

Z belletrystyki wymienić mi należy zbiór noweli Juliana Lętowskiego p. t. „Robakiewicz“, pisanych z serdecznym ciepłem i dobrą obserwacją; dwutomową powieść weale u nas nieznaną, ale zasługującą na poznanie autora „Klubu nietoperzy“, p. Abgara Soltana; wreszcie kilkaście tomików dobrze pomyślanego wydawnictwa „Biblioteki powszechnej“, przysłanej na skład główny księgarni Teodora Paprockiego. Wydawcą jej jest p. Zuckerkandel w Złoczowie, który na wzór Reclama tanich wydawnictw próbuje puścić w świat taką Bibliotekę zabezpieczoną, złożoną z dzieł oryginalnych i tłumaczonych. Dotychczasowy wybór jest nie zły, chociaż weisnęły się do niego rzeczy niekoniecznie potrzebne i nie zbyt poprawnie tłumaczone.

Dla scen amatorskich przybyła książka nader pożądana, która przyda się wszystkim bibliotekom teatralnym; Zygmunt Przybylski, autor „Wicka i Wacka“ wydał tom swoich „Komedii jednoaktowych“, pomiędzy którymi znajduje się najcenniejsza jego bluetka „Pierwszy bal“, oraz kilka utworów, niegranych jeszcze na naszej scenie.

Quis.

KOBIETY IRLANDZKIE.

(Dokończenie).

Kiedy urok piękności łączy się z urokiem cnoty, wtedy, według słów naszego poety, wytwarza się koło czarodziejskie, które piękność tę otacza „światłem z nieba odbitem“ i zdanie to zastosować można do młodej panny, miss Matyldy Gonnie, która, leżąc zaledwie lat dwadzieścia kilka, stanęła już w pierwszym rzędzie swego społeczeństwa, otoczona taką jego sympatją, takim umiłowaniem, że przyznanym jej został przydomek „lilii Erynu“. Liliją też jest, bo czysta i wzniósłego ducha w górę kwiatem szlachetnych uczuć strzela, a pociągając za sobą innych, zastępuje społeczność sobie skarbi. Historia jej niedługa jest jak i życie samo. Urodzona w 1868 r. w hrabstwie Kerry, córka bogatego właściciela ziemskiego, Anglika z pochodzenia i wyznającego też religiję anglikańską, który służył wojskowo za lat młodych w armii indyjskiej i dosłużywszy się stopnia pułkownika, wrócił do kraju i ożenił się w sąsiedztwie z córką karmazynowej, ale majątkowo bardzo podupadłej rodziny, miss Angeliką Knollys. Jedynym dzieckiem tego małżeństwa była ona, chowana a potem kształcona bardzo starannie, ale za wolą ojca przez nauczycielki Angielki, a potem oddana do angielskiego pensjonatu panien w Dublinie. Po ukończeniu nauk była prezentowaną na dworze vice-króla i uznana za piękność, została otoczona kołem wielbicieli — młodych paniczów, głównie z pomiędzy rodzin angielskich; ale na małżeństwo było jeszcze za wcześnie, jakkolwiek ojciec tworzył już plany pewne. Lecz śmierć jego, gdy właśnie kończyła lat dwadzieścia, położyła im koniec i zmieniła w sposób niespodziewany dla dotychczasowego jej otoczenia kierunek jej życia. Rok żałoby przebyła na wsi cicho i w zamknięciu należnym, lecz gdy z jej skończeniem znalazła się zarazem pełnoletnią, nastąpiła w niej niespodziewana zmiana.

Otoczona poprzednio arystokratycznym towarzystwem angielskim, wycofała się zupełnie z tych stosunków i zmieniła zarazem tryb życia, czemu matka, kobieta łagodna, słabego charakteru nie stawiała oporu, a może miłośniej przycisnęła ją za to do serca i zamknęła się teraz na wsi, a młoda dziedziczka zasłynęła wkrótce wśród okolicy z wielkiego miłosierdzia, z wielkiego współczucia dla ubogiego ludu, nie tylko własnych włości. Ręka jej stała się szczerze otwartą; łożyła hojnie na instytucje użytku publicznego, łącząc się przytem ściśle z partją irlandzką, i zmieniając w odpowiednim kierunku towarzyskie swe stosunki. Dotychczas nie wyjeżdżała nigdy z kraju, teraz

przecież postanowiła zwiedzić Francję, być w Paryżu, nie dlatego przecież, aby się bawić, używać wesołego młodego życia, bo pierwszym tu jej krokiem było zgłoszenie się do sędziwego już poety irlandzkiego, Patryka Yeats, który zapoznał ją z całym gronem zamieszkujących Paryż rodaków, między którymi znajdowało się wiele zasłużonych sprawie irlandzkiej weteranów. Zapragnęła przecież poznać obok tego nie tylko skarby sztuki francuskiej: muzea, biblioteki, ale zabrać i znajomość z ludźmi: artystami, literatami, a to nie w interesie własnej tylko przyjemności, własnej korzyści. Młoda entuzjastka postanowiła sobie roztoczyć przed oczyma publiczności francuskiej obraz wewnętrznej życia Irlandyi w seryi odczytów, które przy jej wymowie, przy jej piękności i młodości, ścigały liczne tłumy słuchaczy, zalecając się drugostronnie ludziom poważniejszym treścią zajmującą i poznania godną. *La belle Irlandaise*, jak ją nazywano w Paryżu, wróciła obecnie do kraju, a wypróbowałszy już tam krasomówczych swych zdolności, zapragnęła uczynić z nich sobie narzędzie najszlachetniejszego miłosierdzia — oświecanie ciemnych. Wiedza ludu irlandzkiego jest, zwłaszcza w stosunku do angielskiego, bardzo ograniczona, nie umie on też radzić sobie w życiu i gnębie go bieda ciężka, jakkolwiek obecnie hojne datki osiadłych w Ameryce Irlandczyków zaczynają przynosić pomoc bardzo znaczną. Ona postanowiła przłożyć się tu cząstką swoją — rzucić między ciemnych promyk oświaty, którąby, rozjaśniając umysły, pozwoliła otrząsnąć się z apatyi, gniołającej do ziemi. Odczyty jej ten cel mają przed sobą. Utrzymanie domu ludzi ubogich, wychowanie dzieci, wiadomości praktyczne z zakresu ekonomii społecznej, oraz z gospodarstwa rolnego i prac, rzemiosł z niem łączonych — to treść na pozór sucha i mało wdzięczna, którą ona, ta piękność rozciągająca w koło siebie urok czarownego wpływu, podjęła przecież z miłości gorącej dla biednych swych słuchaczy. Dzienniki wszelkich odcieni politycznych i społecznych podnoszą też obecnie jej szlachetne poświęcenie, wobec którego piękna panna cofa się w głąb, a występuje na plan pierwszy zasłużona społeczeństwu swojemu obywatelka.

Wielką pomocą dla takiego rozwoju jej uczuć i kierunku działalności społecznej był wpływ innej szlachetnej kobiety, jak wyznaje to sama. Wywarła go na nią w latach młodych, niemal dziecińczych, poetka Speranza, inaczej Janina Franciszka Elgee, której poezye, pełne gorącego zapału, silnego, szczerzego uczucia, ukazały się w 1847 r. na szpaltach tygodnika wychodzącego w Dublinie: *Irish Nation*. Dyktowało je uczucie bardzo gorące, młode, szczere, więc strofy te śpiewne znajdowały drogę otwartą do serc ludzkich, podobnie jak i proza tak pełna siły, że ludzie podejrzewali tu pióro męskie pod pseudonymem kobiety. Siłę tę dawało uczucie prawdziwe — miłość Irlandyi, malująca się w jej utworach tak gorąco, że talent jej potęgował się przez siłę tego uczucia i, jak zwykle bywa z poetą, który pieśni nie kłamie, uznanie dla jej talentu rosło coraz, jednając jej więcej, niżeli sławę literacką. Przemawiała do serc ludzkich, i sercem też płacono jej za to. Poezye jej były na ustach wszystkich, a że uczucie, które jej dyktowało, szło szczerze z głębi serca, więc było też prostem, zrozumiałem dla wszystkich i wszyscy bez różnicy klas ukochali młodą poetkę, która stała się tak drogą sercom irlandzkim, że biedni emigranci, puszczający się za Ocean, kupowali sobie jej poezye za grosz ostatni i wyszło też ich wydanie specjalnie dla tych biedaków przeznaczone — wydanie niezmiernie tanie, na szarej bibule, przecież zabierano je ze sobą obok relikwii — woreczka z ziemią irlandzką, na piersiach noszonego.

W 1851 r. Speranza wyszła za mąż, za lorda Wilde, uczonego okulistę, już sławnego w świecie naukowym, choć młodego jeszcze i mimo swego zawodu pracującego na polu historycznym starożytności celtyckich. Był to przytem podróżnik, znany uczoneму światu, i młoda małżonka weszła w koło ludzi wyższych, rozpoczynając w ich otoczeniu nowe życie. Dotąd działała przez pióro — przez poezye swoje, obecnie własna jej osobistość poczęła wpływ wywierać: salon jej stał się sławnym w historii ruchu umysłów irlandzkich w tej

epoce, bo wszystko, co było czezonem jako cnota obywatelska, gromadziło się tu chętnie. Śpieszono, aby ogrzać się u promieni jej uczucia, podnieść sobie serce do cnoty górnej, którą reprezentowała, i żaden podróżnik wyższego znaczenia, przybywający do Dublina, nie ominął jej domu a dodać trzeba, że była to i lingwistka znakomita, bo posiadająca doskonale język francuzki, niemiecki, włoski, hiszpański, znająca obok tego i literaturę tych wszystkich narodów. Pisała też dużo, tłómaczyła arcydzieła poezyi ze wszystkich tych znanych sobie języków, z notami historycznymi o życiu poetów, filozofów, ludzi znakomitych, i tworzyły się z tego książki, pełne interessu, czytane też z wielkim zajęciem, z wielkim dla autorki uznaniem; ale studia jej nad ludową poezją Irlandyi stanowiła największą jej zasługę literacką. „Znam wszystkie duchy pól, łąk, wód i lasów Irlandyi,“ pisała i wszystkie też te duchy przechodziły śpiewać jej owe melodye rodzime, które potem uwielbiał kraj cały, a wpływ, jaki wywierała, był niewypowiedzianie cenny, bo oddziaływał kręgiem szerokim a był, dodać trzeba, doskonale kobiecym, uczucie przez uczucie wzruszającym. Nie lubiła też kobiet mężyc—nie lubiła kobiet autorek, którym brakowało uczuciowości, tkliwości niewieściej, i dlatego nie była nigdy zwolenniczką pism, ani osoby piszącej pod pseudonymem Jerzego Elliot.

— Wszystko to jest bardzo rozumne, ale zimne i nie pociąga mnie... mówiła o jej dziełach, lecz na odwrót nie lubiła również kobiecości, niewybiegającej myślą poza ciasny zakres czterech ścian domu swego, niepodniesionej do wyższego, rozumnego sądu o życiu i jego sprawach—kobiet tonących, czy w galgankach strojnych, czy gospodyń takich, które „wiecznie ścierają kurz z mebli“—kobiet pospolicznych, i gdy raz ktoś jej powiedział, że jest bardzo wiele i mężczyzn pospolicznych, odparła żywo:— „Ależ przyznajemy kobiecie większą siłę uczucia, a uczucie prawdziwe podnosić musi koniecznie nad pospoliczność. Nikt, kto umie czuć silnie, nikt z tkliwym sercem w piersi, pospolicznym nie jest...“ „Wierzę w postęp pod tym względem—mówiła—kobieta przez siłę uczucia, rozwiniętego w kierunku szlachetnym dojdzie do równości z mężczyzną, choć nie do jednakowości. Pracując w społeczeństwie nie będzie ani mniejsza, ani podrzędniejsza...“

— Od czegoż jestem Speranza... dodała, widząc, że ten ktoś, z którym rozmawiała, nie zdawał się dzielić jej zdania—wierzę w postęp, w udoskonalenie się ludzkości na podstawie praw i naturalnych przymiotów tej ludzkości.

Nietylko szlachetność jej poglądów, jej poetyczność i czyste jak iza życie, ale silna wiara w zwycięstwo tego, co jest dobrem, czyniła i czyni dotąd jej wpływ na ludzi dobroczynnym i podobnie jak się stało z piękną miss Gonne, niejedno życie kobiece podniosło się i udoskonało pod oddziaływaniem tak literackim, jak osobistym, tej szlachetnej. Jej tygodniowe przyjęcia sobotnie zaliczane są też w Dublinie do krzepiących, podnoszących ducha wpływów, i otacza ją uszanowanie takie, że często nieznani jej osobiście ludzie odkrywają z uszanowaniem głowy, spotkawszy ją na ulicach stolicy.

A sędziwa już jest, siwowłosa, ale inteligencja jej, jej uczucie nie słabnie i działa wpływowo, i można powiedzieć, że Speranza wytworzyła szkołę, w której na pierwszym miejscu po niej stoi świeżo zmarła Ellen O'Leary, poetka też wskrós irlandzka z uczuć i rodzaju swego natchnienia. Różniąc się od gorących i potężnych w wyrazie swoim liryk Speranzy, Ellena O'Leary śpiewa na tkliwą, smutną nutę ludową i wszystkie jej piosenki, których tom wyszedł właśnie z druku, mają ten charakter poezyi ludowej, którego prostota, gdy się złączy z poetycznością prawdziwą, posiada ten wdzięk niewymowny, jakim nasz czytelnik napawać się może w poezjach Lenartowicza. Krytyka miejscowa wyraziła się o niej, iż poezye jej „są ciepłe od słońca i wilgotne od rosy Munsteru“, to jest prowincyi, z której pochodzi. Czysto swojską jest nuta i obrazom swojskiego tylko życia, swojskiej przyrody i ludzi, który żyje na jej łonie, natchnienie jej służy za odbicie, a przy tem silnie religijna tak w tęsknotach i smutkach, jak w radościach i nadziejach swoich, podnosi wzrok ku górze, ku niebu, aniołów Bożych przyzywa na pomoc dla

spraw, prac, nadziei pełniącego się na ziemi życia, ztąd poezye jej przypadają tem silniej do serca ludu, dla którego też kreśliła je poetka—dla jego uczuć, dla jego wyobraźni, dla oddziaływania na jego życie, aby pędzone nisko w pracy ciężkiej nie oddało się całkowicie i jedynie trosce o chleb, nie utonęło w niej wyłącznie. Biografka tego szlachetnego istnienia kobiecego, Augusta Janina Gold, rodem z tejsamiej co miss O'Leary prowincyi Munsteru i ztąd odczuwająca tem doskonalej muzykę jej poezyi, zamieszcza w skreślonym przez siebie życiorysie poetki fakt, dowodzący jak stała się ona popularna, jak żyła się ze śpiewną duszą irlandzkiego ludu. Używając raz przedwieczornej przechadzki, Augusta Janina spotkała się z gromadą dziewcząt, powracających z fabryki tkackiej, w której pracowały i śpiewających chórem balladę Elleny O'Leary: „Gałązka ostrokrzewia“—gałązka, której widoku pragnie biedny wychodziec do Ameryki, za którą tęskni wśród bogatej przyrody Nowego świata. Zatrzymała się i zapytała śpiewających, kto je nauczył tej pięknej pieśni, a wtedy jedna ze śpiewających wydobyla z koszyeczki, w którym mieścił się garnuszek, zawierający całodzienne jej pożywienie, książeczkę z poezjami Elleny O'Leary i pokazała ją pytającej z pewną dumą, iż skarb taki posiada.

Krytyka równa jej talent ze szlachetnym poetą jezior Wordsworth'em, a należy dodać, że było i podobieństwo pewne życia jej z tem pieśniarzem. Tak, jak on ukochał siostrę i nie rozłączył się z nią do śmierci, tak ona kochała brata i poświęciła życie dla niego. Umarła w 1889 roku w jego domu, kochana, szanowana przez szerokie koło tak ludzi odpowiedniego jej wykształcenia, odpowiedniej inteligencji, jak i przez cały lud okoliczny. Oczy jej zamknęły się w Corku, gdzie zamieszkiwała z bratem, ale umierając prosiła, aby jej grób był tam, gdzie stała niegdyś kolebka, w okolicach miasta Tipperary, i gdzie myśl jej wracała zawsze na skrzydłach tęsknoty do miejsca młodych wspomnień, młodych nadziei życia—górskiej wioski wśród łańcucha gór Galtees. Krajobraz tych dróg jej miejsc rodzinnych służył zawsze za tło jej poezyi, których nuta brana z motywów rodzinnych, uczyniła ją szczególnie miłą czytelnikowi i więcej może niż sam talent poetyczny przemawiała do serc i umysłów. Uczucie prawdziwe, czyste, szlachetne uczucie,—to najwyższa poezya życia ludzkiego.

M. I.

PIERZCHLIWY PTAK

POWIEŚĆ

przez

Kazimierza Glińskiego.

Słońce schyliło się ku zachodowi. Żółty łan dojrzewającej pszenicy przyjął barwę brunatną, górą tylko świecił kolorem czerwonego złota, połyskując gdzieniegdzie rozrzuconymi a ponosowymi jak krew kwiatami dzikiego maku. Środkiem łanu wila się kręta dróżyna, łącząca wieś z oddalonym stawem, który czystą szybą wody rozlał się szeroko wśród pola. Brzegi miał płaskie, bezdrzewne—okalał go tylko wązki pasek zielonej murawy, w której się kryły koniki polne, brzydkie lecz nieszkodliwe turkucie i pajaki, różnujące się srebrną na wiotkich traw łądogach, mechach kędzierzawych o barwie jasno-zielonej i rozchodniku o kwieciu drobnym, którego nasionko przez wiatr tu zaniesionem zostało. Ale zaborecza roślinka prędko swoje panowanie rozpostarła: wgryzła się w aksamit lśniącej murawy, czepiała się spadzistych brzegów, nie mówiąc już o niezajętych kępkach lysin, które jej niepodzielną własnością się stały.

Wśród rozległej płaszczyzny zbóż, to oko stawu miało pozór wielkiego szafiru, osadzonego w szero-

kiej oprawie złota; wązki pierścień zieleni zmienił się w obręcz lśniących szmaragdów, pośród których czasem drżały malutkie topazów kamienie lub duże grona pereł. Topazami były kwiaty cykoryi, rozsiewające się w żółte gwiazdy—perłami białe kule puchu, które wiatr unosił, srebrząc niemi błękitne fale jeziora.

Spokój i cisza rozlewały się nad wodami samotnego stawu. Nawiedzali go ludzie ledwie kilka razy do roku, i to w chwilach roboty w polu, gdy ziarno rzucić do ziemi, lub z powrótami wyjść trzeba było. Lecz teraz spoczynku czas nastał: pracę pozostawiono słońcu, które miało kłosa wypielnić i gotowe oddać pod sierpy. Wężykiem idącą drożyną wydeptywano jeszcze podczas siejby; przepadało rokrocznie ziarno trochę, ale nikt na to nie zważał, ani się gniewał. Zarosłoby może trawą bujną lub innem jakim niepotrzebnem zielskiem; lecz na to nie pozwalał pan Zygmunt Skalski, który codziennie z młodą a ukochaną żoną samotny stawek nawiedzał.

Szli razem, rozmawiając Bóg wie o czem—ale uśmiech nie schodził z ust młodego pana, rumieńce z liców pani. Czasami żywa, wesola zawiązywała się między nimi rozmowa; czasami szli mileczący wpatrzeni w siebie, do własnych uśmiechając się myśli. Dobrze im było wśród tych pól rozległych, wśród zbóż, falistym ruchem do kolan się im kłaniającym; dobrze im było nad brzegami oddalonego stawu, gdzie ucho nieczyje nie podchwyciło ich szeptów, nieczyje oko swobodzie pieszczoł przeszkodzić nie mogło. Towarzyszyła im miłość—szczęście wiodące za sobą. Rozpoczął się dopiero rok trzeci, jak pannę Zofię,—Zochną nazwał, a wciąż mu się zdawało, że to... ot—było wczora.

Szli wąską drożyną wśród dojrzewających kłosów pszenicy: on wiotką kibić żony otoczył ramieniem, uśmiechał się i coś jej szeptał na ucho, a rumieńce barwiły twarz młodej kobiety.

— Czy ty wiesz, Zochno?—zawołał nagle, wstrzymując się wśród ścieżki—że to już dwa lata jakśmy się pobrali?

Zosia zaśmiała się.

— A ty myślałeś, że wczora?—spytała.

— Stare już z nas małżeństwo!—rzucił Zygmunt z poważnym westchnieniem.

— Znudzileś się już—co?

— Ogromnie!—zawołał.

Przygarnął do siebie piękną Zochnę i dwukrotny pocałunek na koralowe, rozchylone w rozkosznym uśmiechu, usta jej złożył.

— Czy ty mi nie kochasz?—spytała, patrząc fioletkowemi oczyma w rozpromienioną szczęściem twarz Zygmunta.

— Ja? ciebie?...

— Co? co?...—odezwiała się w udanym gniewie, brwi lekko marszcząc.

— Nienawidzę!

— Brzydkie!—krzyknęła, pochylając głowę na ramię męża.

— Zdaje się, że miałaś dość czasu przekonać się o tem?

— A jakże ty o mnie myślisz?—spytała, rzucając figlarne spojrzenie na Zygmunta.

— Myślę... że nie mamy sobie nic do wyrzucenia: nienawiść jest wspólna, tak, że nam dzisiaj nie innego nie pozostaje tylko rozłączyć się...

— Zatem... najniższa sługa waćpana...

Skloniła się do ziemi prawie, szybkim ruchem wywinęła się z objęć męża i jak ptak frunęła.

— A niegodziwa!—zawołał Zygmunt. — Stój! stój!... Nie cheesz?... Ooo! myślisz, że gonić za tobą będę?... Otóż nie, przybiegniesz sama!

Odwrocił się od uciekającej i krokiem powolnym zaczął iść ku stawowi, którego szafirowa powierzchnia złościła się od promieni zachodzącego słońca. Zatrzymał się jednak i spojrzał za siebie.

Zochna szła naprzód, nie oglądając się wcale. Na złotem tle zbóż świeciła błękitna jej sukienka, mieniąc się barwą saladynową od blasków ukośnie padającego słońca; kędziory płowych włosów bujną falą sływały po pięknych łukach ramion, szeroki, słomiany kapelusz, otoczony wiankiem bławatków, to świecił zdaleka jak tarcza złocista, to chwiał się, niby złote skrzydło rajskiego ptaka.

— Ona doprawdy ucieka!—szepnął do siebie Zygmunt.

Chciał zawołać raz jeszcze, ale się powstrzymał.
— Poczekał, paskudnico! — mruknął. — Przybiegniesz, ale słowa nie zagadam do ciebie.

Pokreślił pięknego wasa, uśmiechnął się i krokiem poważnym zaczął ku stawkowi się spuszczać. Wilgotny powiał chłód, lekki wiatr przebiegł i w drobne zmarszczki sfałdował gdzieś tam wodną; szmer fal, niby westchnienie długie, w wieczornej zabrzmiął ciszy. Był to śpiew ziemi, posylającej słońca dobranoc.

— Rozkoszny wieczór! — szepnął Zygmunt. — Czy wiesz, Zochno...

Obejrzał się.

— Prawda, że sam jestem... Hm! — mruknął, wzruszając ramionami — od lat dwóch raz pierwszy niema tu jej przy mnie.

Zdjął z głowy kapelusz i rzucił daleko od siebie, sam się położył na trawie, o dłoń się wsparł i wpatrzył się w lekko kołyszące się fale.

Miarowy ruch wód, plusk ich głośniejszy, gdy docierały brzegów — cichy szelest lekko chwiejących się zbóż, powoli opadające zmierzchy i cisza w całej rozlana przyrodzie — nieznany dotąd smutkiem napełniły duszę pana Zygmunta. Wszak nie raz te głosy słyszał, te zmierzchy widział — a nie czuł tego, co teraz czuje... Zochny nie było przy nim.

Nie po raz to pierwszy był sam, ale — tutaj — był z nią zawsze. Gdziekolwiekbyś sam się znajdował, nie doznawał uczucia samotności — tu, brakło mu czegoś, zdawało się, że jakaś nie pękła, że jakaś chmurka... niewielka... cień swój rzuciła.

Doznał przykrości.

— Nie dobra! — zawołał z mocą.

— A ty? — zabrzmiął głos tuż za nim.

Zygmunt skoczył i wyciągnął ramiona do śmiejącej się serdecznie Zosi.

— Aha, wróciłaś! — zawołał tryumfując, przyciskając ją do bijącego mocno serca. — Wróciłaś, niegodziwa! wiedziałam, że wrócisz!...

— Bo jestem lepszą od ciebie, panie mężu; bo kocham ciebie więcej, niż ty mnie! — mówiła, pochylając głowę za każdym wypowiedzianym zdaniem.

— Przecie ja ciebie nienawidzę... wiesz dobrze o tem!

— Zygusiu! — zawołała jak dziecko, do piersi jego przypadając.

— Aniele mój! — zawołał Zygmunt.

Przygarnął ją do siebie, przycisnął mocno, całował czoło, oczy, usta i...

— Kocham! kocham! kocham! — powtarzał...

Nikt tych pocałunków nie widział, nikt nie słyszał tych szepów miłości; echo nie zabrzmiło wśród szerokich obszarów pól, w falach stawu tylko odbiły się dwa cienie w długim zostające uścisku.

Zmierzchało coraz szybciej... Czerwony pas na zachodzie przybrał barwę żółtą, zzieleniał, pokrył się lekką powłoką fioletu i roztopił się w ogólnym tonie nieba. Szafirowe wody jeziora stały się czarnymi niemal; od ciemnej tła jego powierzchni jaśniejszą nieco barwą odrzynał się pierścień okalających zbóż. Noc zapadła, oświecona drzącymi blaskami gwiazd i bladorożową poświatą, rozlana w całym przestworze. Było to lekkie odbicie dawno zagasłych promieni słońca, dzień magiczny, czarodziejstwo nocy lipcowych, trzymających w płomiennym uścisku niebo i ziemię.

Wązką, krętą ścieżyną, pomiędzy lekko kołyszącym się zbożem, powracał pan Zygmunt z opartą na jego ramieniu Zochną. W powietrzu było cicho, tajemniczym szmerem łan śpiewał, w zbożu kwiliły przepiórki. Daleko gdzieś odezwał się derkacz i z trzcin bąk huknął. Opuszczony przed chwilą stawek brzmiał urywanymi tonami tęsknej żab skargi...

— Kum, kum-u, ukum, kum! — rozlegało się wśród ciszy nocej i coraz się oddalała od wracającej do domu szczęśliwej małżonków pary. Idący nie mówili nic do siebie: w rozmowie wyręczały ich serca, które, jak dwa akordy muzyczne, były w dźwięk zgodny. Nagle jakieś klekotanie dało się słyszeć w powietrzu; zrazu ciche, później coraz mocniejsze, niby gwar kłócących się, gdy zapamiętały spór między sobą zawioda... To w drugim stawie rzechotały żaby, jakby roznamietnione jakimś nieporozumieniem w ich gronie powstałym.

Łan się skończył — w pewnym oddaleniu zabłysły małe światła. Szczekanie psów i wrót skrzypnicę mówiły, że wieś blisko.

Pośród chat wiejskich, rozsypanych szeroko nad wąską strugą rzeczki, można łatwo było rozróżnić dwór dziedzica, z którego wnętrza ogniste i większe światła płynęły. Stojąc na wzgórzu, panował nad całą i szarzał na tle lip wkoło rosnących i topoli, które, jak obeliski, wiotkie kontury swoje wyraźnie rysowały na niebie. W pewnym oddaleniu i na mniej znacznej wyniosłości, łącząc się prawie z wieśniaczkimi chatami — stoi dwór drugi, mniejszy znacznie rozmiarami i odmiennym różniącym się otoczeniem. Tuż prawie koło mieszkalnego domu wznosiła się stodoła, za nią czerniały sterty siana i słomy. Cicho tam było i ciemno: ni czujny pies zawarczał, ni blade światło błysnęło. Dwór pierwszy stał pośrodku wspaniałego dziedzińca, z daleka od zabudowań gospodarskich, które kryły się gdzieś za pięknymi drzewami angielskiego parku; drugi — całe gospodarstwo miał przed sobą: obory, stajnie, kurniki, nawet i gołębnik przed samym gankiem prawie. W pierwszym — pan mieszkał, w drugim — gospodarz; właścicielem pierwszego był Zygmunt Skalski, drugiego — Michał Korabiec.

Zaledwie pan Zygmunt wszedł z żoną na ganek swojego domu, skrzypnęła boczna furtka w dziedzińcu i w cieniach drzew ukazała się wyniosła postać mężczyzny. Widocznie gość spóźniony dostrzegł wchodzących, których sylwetki na oświetlonych odbiły się oknach, bo wstrzymał się nagle i zdawał się namyślać czy wahać. Cofnął się już nawet, ale brytany śpiące koło ganku warknęły zajadle i groźnie się najeżyły. Pan Zygmunt przywołał ich do porządku i krokiem naprzód postąpił. Mężczyzna musiał się zatrzymać; Skalski zbliżył się do stojącego.

— Kto tam? — zapytał.

— Poznaj! — odpowiedziano.

Zygmunt podszedł do nieznajomego.

— Al! — krzyknął nagle — co widzę? Michał!... Czy mnie czasami nie mylą oczy? To ty, panie Michał!... Zochno! — zawołał, zwracając się do żony — a pójdziesz i powitaj tajemniczego gościa, który jak duch zniknął nad przed laty i dzisiaj, jak duch, z cieniów drzew się wyłonił... Zkąd? jak? kiedy? — pytał, witając serdecznie przybywającego.

Pani Zofia szybko zbiegała ze schodów; dwaj sąsiedzi witali się głośnie mi pocałunkami.

— Pan Korabiec! — zawołała młoda kobieta.

Podala rękę, którą przybyły uściśnął lekko i puścił nagle.

Posypały się pytania, ale pan Michał nieprędko na odpowiedź się zdobył.

— Co tobie, sąsiedzie? czy mówić zapomnieliś? — zawołał Zygmunt.

— Poczekaćcie, niech przyjdę do siebie — szepnął Korabiec.

Powiódł dłonią po czole, odetchnął i wyprostowując się jak żołnierz, rzekł pełnym głosem:

— No, jużem w domu!... Witam cię, panie Zygmuncie, witam serdecznie — i panią także!

— Kiedy pan wróciłeś? — spytała pani Zofia, patrząc ciekawymi w twarz przybyłego, który z pochyloną nieco głową ku ziemi stał przed nią. Przy różowym świetle nocy można było dostrzedz, że twarz miał zwiedłą, mimo młodych lat jeszcze, o czy przygasłe, przysłaniające się co chwila powiekami. Krótki zarost okalał policzki, włos tylko bujny nad wyniosłem wenił się czolem.

— Kiedy pan wróciłeś? — pytała Zochna — i to tak cicho, że nie a nie nie wiedzieliśmy?

— Nie dziwnego — odpowiedział Korabiec. — Wróciłem, godzina temu, dwie może — ale dlaczego zaraz i tak późnym wieczorem do państwa się wybrałem? odpowiedzieć — bym nie potrafił.

— Ja więc pana wyręczę.

— Słucham — rzekł z uśmiechem.

— Przywiodła tu pana dawna przyjaźń dla mojego męża, za co oboje najserdeczniej mu tylko podziękować możemy... Nie zgadłam?

— Tak, zgadłaś pani... Przyjaźń dla jej męża...

— Gniewałbym się — dodał Zygmunt — żebyś z nami, panie Michale, bawił się w niepotrzebne ceremonie. Znasz mnie od dziecka, a i Zochnę nie dziś dopiero poznałeś. Ale — zawołał — coż my tak gawędzimy otoczeni cieniami nocy? Proszę

do domu, chwil parę przy wieczerzy spędzimy i węgryz się stary znajdzie, którym przypijemy do siebie.

— Możeby lepiej... powitawszy was — pożegnać?

— Co? co? — zawołali razem Zygmunt i Zofia.

— Figle jakieś! — rzucił Skalski — Jaki? nie byłbyś ciekawy zobaczyć nas przy świetle — no, nie mnie — ale, ale przynajmniej choć oczy mojej żony?

— Fiołkowe muszą być zawsze.

— O! jak dobrze pamięta! — zaśmiał się Zygmunt — a to przecie sporych lat trzy przeszło.

Zygmunt wziął gościa pod ramię i na dziedzińcu wprowadził — pani Zofia z drugiej strony szła przy Korabiezu.

— Popelniaćcie panowie, małą omyłkę — rzekła.

— Jednocześnie prawie z przybyciem tutaj moim, (co stało się oczywiście zaraz po ślubie) pan Michał się ulotnił. Mogłabym go posadzić, że nie rad był z nowej sąsiadki... Zatem — zniknięcie pana Korabieza od lat dwóch się datuje.

— Jak się broni! — zaśmiał się Skalski. — Nie chce za nie być starą mężatką.

— Bo nią nie jestem.

— Babcia już z ciebie — droczył się dalej mąż. — Spójrz teraz na nią, panie Michale! — zawołał, przestępując próg jadalnego pokoju.

Jasne światło wiszącej lampy potokiem promieni oblało panią Zofię. Korabiec stanął, wpatrzył się i jakaś ciemna chmura przez czoło mu się przemknęła.

— Śliczna zawsze! — wypadło z ust Michała.

Zosia pięknym, długim ukłonem podziękowała za komplement.

Korabiec się zmieszał.

— Możem obrazić panią...?

— Czem? — spytała.

— Wypowiedzeniem ostrej prawdy — dodał Zygmunt. — Ot, i wieczera. Bravo! zrazy z kaszą, albo Filon i Doryda. Zochno! proś gościa, a ja zaraz żytniówką go poczęstuję. Grzegorz — pst!... — zwrócił się do lokaja. — Skocz, stary, zaraz do Piernackiej i powiedz jej, żeby z piwnicy węgryzna nam dostała, w pękatej, Nr 7, wiesz?...

Grzegorz mruknął, co miało oznaczać zrozumienie rzeczy, podrapał się w głowę i delikatnie pana Zygmunta w łokieć trącił.

— He? — spytał Skalski.

Stary szepnął:

— A jak tam, jasny panie, względem naszego gadania będzie?

— Jakiego gadania?

— A względem mojego ożenku z Piernacką? Zygmunt prychnął.

— Może się rozmyślisz, stary, bo to jakoś...

— Niema co rozmyślać, kiedy człek nogami włóczyć zaczyna i schnie jak szczapa, a Piernacka wszędy się rozchodzi...

Skalski zaśmiał się.

— No, no, pogadamy — poklepał starego po ramieniu. — Ruszaj po wino!

Grzegorz podreptał do klucznicy po wino, które niebawem na stole stanęło — Zygmunt z butelką wódki w rękę zwrócił się do Korabieza.

— W ręce twoje, panie Michale!

Wypił i podał gościowi.

— Czy do pani? — zapytał Michał, biorąc kieliszek z rąk Skalskiego i pochylając się w ukłonie przed Zofią.

— Nie, nie — odpowiedziała z uśmiechem gospodyni — nie znam się na tych specyalach.

— Czego się wstydzisz, kiedy pijesz jak szewc? — zawołał Zygmunt.

Zosia serdecznym parsknęła śmiechem, Zygmunt się pochylił i w półrozwarłe pocałował ją usta.

— Nie myśl pan tylko — rzekł, siadając naprzeciw Korabiezu — że my się niby bardzo kochamy.

— Widzę to, widzę — odpowiedział Michał. — Dość jednego spojrzenia, aby się przekonać, że od dwóch lat podjazdową prowadzicie wojnę.

— No, my się bijemy nawet — ale co łaskawy sąsiad przez ten czas porabiał?

— Stać się interesującą osobą — rzekł zapytany — a naprawdę, nie ciekawego ani zagadkowego w tem wszystkim niema.

Pani Zofia ruszyła głową.

— Nie wierzy pani?

— Żeby nie być niegrzeczną—wierzyć muszę... Ale...

— Kończ, pani, śmiało.

— Nie rzuca się tak nagle gospodarstwa, domu, sąsiadów, i to z jakimś gorączkowym pośpiechem, w sposób tajemniczo zagadkowy.

— Zmienimy rozmowę — rzekł Zygmunt, który zauważył na twarzy Michała znamienny rys jeden, jakim malarz kładzie piętno cierpienia. — Zdrowie twoje, sąsiadzie! — rzekł, wstając z krzesła i podnosząc kielich złotym węgryńskim nalanym.

— Ja piję za szczęście obojga was! — odrzekł Michał.

— Wielkie, prawdziwe szczęście! — zawołał Skalski — jakiego życzę i tobie! Obyś je sobie zbudował!

— Co? ja? — rzekł nagle Korabiec.

Niesiony do ust puhar w ręku mu zadrzął, aż kilka kropli wina na stół upadło.

— Nie poznaję ciebie — odezwał się poważnie Zygmunt. — Ty „duszą okolicy“ niegdyś przezwany, traktujący to życie lekko, wesoło — teraz?...

— A! — zawołał Michał — muszę ciężar raz zrzucić z siebie, ażebyśmy się nie bawili w ślepą babkę. Zachciało mi się być panem (szalona pałka zawsze ze mnie była), pojechałem szukać fortuny do Monte-Carlo — i... noga mi się zwichnęła.

— Taak? — zawołał Zygmunt.

— Ot, macie bohatera, nie romansu wprawdzie. Karty odkryte, możemy grę zakończyć.

Zaśmiał się, lekki rumieniec policzki mu zabarwił... W twarzy Zygmunta znać było niedowierzanie pewne, i Zofia przekonana była, że prawdy nie mówił. Ale rozmowa popłynęła już swobodniej, szybko, błyskotliwie nawet, podobna do tych, jakimi rozbrzmiewają salony.

(Dalszy ciąg nastąpi).

RUCH MUZYCZNY.

Wedle zwyczaju, rozpoczynając od opery naszej, która zawsze baczności krytyki się domaga, tym razem krótką zdamy relacją z paru przedstawień, które nakształt kalejdoskopu przesunęły przed oczyma naszymi kilka nowych artystycznych osobistości. W naczelną partii „Hugonotów“ usłyszeliśmy pana Pizzorni, artystę wytrawnego i bardzo inteligentnego. Głos dzwiczny, czysty, mile brzmiący, acz niezbyt potężny, idzie w parze z doskonałą rutyną śpiewaczą, z frazowaniem pięknym i grą swobodną a szlachetną. Pani Pizzorni, której artyzm już przedtem oceniliśmy wysoko, w roli Walentyny teżsame korzystne wywarła wrażenia. W ogóle bardzo dobrze tego wieczoru powiodła się opera ze starannym udziałem tutejszych śpiewaków, zwłaszcza p. Chodakowskiego, który, jak zwykle, na wyróżnienie zasłużył. W „Aidzie“ zapoznaliśmy się poraz pierwszy z panną Assuntą Lantes i panem H. Prevost'em, a że pierwsze wrażenia rzadko zawodzą, zdaje się, iż dzięki obojgu artystom będziemy mieli szereg dobrych, zajmujących przedstawień. Piękny, silny sopran panny Lantes brzmiał zanadto może donośnie w sali naszej opery, z której akustyką śpiewaczka nieobytą jest jeszcze; lecz podobała nam się ta młodzieńcza wytrwałość głosu i zapal szczerego uczucia, z jakim oddała swą trudną partya. Pan Prevost zadziwia także potęgą głosu, lecz głównie w tonach średnich; w wyższych, które są znacznie słabszymi, wywołuje efekta siły nieco sztucznie; akcyja natomiast i pojęcie roli nie nie pozostawiają do życzenia.

Z dziedziny koncertów niesiemy dziś czytelnikom naszym niezwykle sutą wiązkę wspomnień, w ostatnich bowiem kilku tygodniach estrada dostar-

czyła nam wrażeń najsilniejszych i najwięcej treści do krytycznego rozbioru. Przez różne stopnie, rzecz naturalna, wrażenia te przechodziły: tu napotykalimy jeno przyjemną rozrywkę, ówdzie porwał nas zachwyt lub wstrząsało zdumienie. Aczkolwiek tedy nie wszystko z jednaką mocą nasuwa się myślom i jednakim prawem domaga się pierwszeństwa, dla ścisłości, zanim poruszymy oddźwięki najbardziej żywotne i potężne, musimy kolejno zebrać i przedstawić całą działalność muzyczną, która się temi czasami objawiła.

Wypada zatem zaznaczyć wieczór muzykalno-deklamacyjny Towarzystwa Wioślarskiego z udziałem panien Dąbrowskich, panny Świącieckiej i p. Landau. Panna Alexandra Dąbrowska, śpiewaczka, opuszczając scenę opery naszej, uczyniła jej prawdziwą krzywdę; rzadko bowiem spotyka się u nas tak piękny, podatny i silny organ głosu, oraz tak szczerzy zapal do poważniejszej artystycznej pracy. Poczucie trafne i wysoko posuniętą umiejętność oceniliśmy w wykonaniu duetu z opery „Don Juan“, walca z op. „Romeo i Julia“ Gounoda, Serenady Bragi w duecie ze skrzypcami, oraz kilku pieśni Kratzera i Galla. Panna Helena Dąbrowska gra na skrzypcach, doprowadzoną już do niepospolitej wprawy, przynosi zaszczyt nauczycielowi swemu, p. Barcewiczowi; obok strony technicznej podziwialiśmy także siłę tonu i śmiałość, brawurowe niemal zacięcie. Co do p. Landau, którego ładny, a prawidłowo postawiony głos dobrze wróży na przyszłość, zrobimy uwagę, że pełna, odniedawna przejęta, maniera w śpiewie, jest nadmiarem zbytecznym i sprzeciwiającym się estetycznej prawdzie, przeto przesadnej tej manierze należałoby się pozbyć. Wieczór urozmaiciła udatną deklamacją panna Świąciecka.

W końcu ubiegłego miesiąca mieliśmy gości zagranicznych, mianowicie: panią Etelkę Gerster, śpiewaczkę, i p. Sally-Lieblinga, fortepianistę. Przejedni ci artyści występowali na większym wieczorze Towarzystwa muzycznego, a następnie w paru innych koncertach. O pani Gerster dałoby się dużo powiedzieć i niewątpliwie występy jej wywołałyby wśród ogółu naszego wielki zachwyt i pozostawiłyby długo trwałe wspomnienia, gdyby artystka raczyła była lat temu kilka zaszczytów nas swym przybyciem, gdybyśmy ją byli słyszeli w pełni jej pięknego niegdyś głosu, który w połączeniu z wysokimi zaletami śpiewu stawił ją w rzędzie najznakomitszych przedstawicieli sztuki wokalnej. Obecnie głos Etelki z kilku zaledwie nut dzwicznych może dać wyobrażenie, i to słabe, co ongi jego czar stanowiło, wogóle razi on już matowem brzmieniem, mgłą, która przesłania średnie i niskie tony. To, co nie ginie tak łatwo: strona artystyczna śpiewu, i dziś jeszcze poręwa miłośników sztuki i dla młodych adeptów stanowi świetny wzór deklamacji stylowej i doskonałego wyrobienia. Wykonane w Towarzystwie Muzycznym arye z „Rigoletta“ i „Lunatyczki“, pieśni Mascagni'ego, Schumanna, Reinecke'go i Tauberta, szerokie dały pole artystce do wykazania umiejętności śpiewaczej i daru wtajemniczenia się w idee dzieł różnorodnych. Niemniej bogaty program wypełniła Etelka na koncercie dobroczynnym (na Przysłutisko), który się odbył w Sali Ratuszowej. Oprócz aryi z „Cyrulika sewilskiego“: „Una voce poco fa“ i „Pourquoi“ z op. „Lakmé“ Delibes'a, oprócz andante i walca Berlioza, przemawiała w jej świetnem odtworzeniu pieśni Schumanna, Schubert'a, Taubert'a i Mascagni'ego. I znowu można było zdumiewać się wykwintnością koloratury i cieniowania, jako też prawdą w odczuciu kompozycji. Poraz trzeci ukazała się artystka na estradzie w sali Resursy Obywatelskiej, gdzie stowarzyszenie „Harmonia“ bardzo staranny wieczór muzyczny urządziło. O panu Lieblingu, który występował również we wszystkich trzech wyżej wspomnianych koncertach, powiemy tylko, że nie należy on do potentatów fortepianu. Ładne uderzenie, dużo biegłości i staranności, niemal wypieszczoność w oddaniu szczegółów, nie zastąpią nam braku siły i owych śmiałych, szerokich zarysów, które pomagają do ogarnienia całości dzieła, a do których przyzwyczaili nas wszyscy znamienitsi wirtuozowie.

Dnia 2-go marca Towarzystwo Muzyczne święciło rocznicę urodzin Szopena koncertem, złożonym z kompozycji tego poety-muzyka, pod którego

natchnieniem fortepian nabrał nieznanych mu przedtem wdzięków i kolorytów, bogactwa i śpiewności. Kilka dziesiątek lat zaledwie upływa od chwili pierwszych wrażeń, jakie wywołała muzyka Szopena, i rodzimą i wszechludzką stając się zarazem, dzięki tym strunom uczucia, które o najtajniejszą głębię duszy potrafiły, stopniując niewypowiedziane jej tęsknoty i bóle, marzenia i idealne porwy. Snaż jednak po krótkim stosunkowo lat przebiegu Szopen, kompozytor nawskroś li tylko fortepianowy, zaczyna niewystarczać artystom dzisiejszym, o szerokich dążeniach, lub może czują oni potrzebę podnieść Szopena do wyżyn, na jakich stoją wymagania i upodobania obecnego *fin de siècle*.

Trafne, czy nie, domysły takie, musiały się nasunąć w chwili, gdy Zygmunt Noskowski, urządzając wspaniały Szopenowski wieczór, wyprowadził na estradę orkiestrę, żywił niemal obcy zmarłemu mistrzowi i w szacie nowej, strojnej, własnego pokroju przedstawił nam niektóre jego utwory. Wielki polonez A-dur i dwie etiudy (op. 10 N. 3-ci i op. 25 N. 12) rozbrzmiały tedy w instrumentacji starannej, częstokroć bardzo świetnej; czy jednak w miarę onej zewnętrznej okazałości, urosły wrażenia duchowe? — to kwestya inna. Przedewszystkiem charakter szopenowskiej muzyki zatarł się zupełnie i prócz pierwszej, bardziej rytmicznej części poloneza naprośnoby się szukało jej cech właściwych. Rozwiała się łagodna śpiewność i rozproszyły całe szeregi dźwięków, jak perły zesnute ze swej jednolitej jedwabnej nici, i ucierpiał, nietylko charakter, ale także estetyczna strona owych dzieł, które przecież nie powstały w zarysach lub szkicach podatnych do obrobienia, lecz w formie skończzonej, zastosowanej do danego instrumentu. Drugim przystrojeniem, w jakim wystąpiły dzieła Szopena, była już nietylko instrumentacja, lecz i chóry. Tutaj dwa preludia (C-mol i G-dur) zorkestrowane stanowiły tylko niejako podkład do melodii oryginalnych Z. Noskowskiego, które też wystąpiły na plan główny. Szopen tedy znowu, jeśli nie znikł, to pozostał w cieniu, nieodgrywając nawet tej roli, jaką zajmuje przy deklamacji z towarzyszeniem fortepianu. Tutaj bowiem, dwa utwory, muzyczny i poetycki, płyną obok siebie, bardzo luźnie zespolone rytmiką i słowy, któremi poeta chce myśl muzyka odtworzyć. Gorzej stało się z Szopenem, gdy mu przyszło służyć za tło do innego utworu muzycznego, stowarzyszyć się z indywidualnością artystyczną tak wybitną i odrębną, jaką jest Z. Noskowski. Mimo usiłowań twórcy chórów do utrzymania się w charakterze preludjów. mimo harmonizacji przystosowanej, chóry te, którym z odrębnego stanowiska piękna oddajemy rzetelne uznanie, zatraciły uroczą indywidualność Szopena, który był hasłem ich natchnień.

Dla poparcia jeszcze naszego sądu słusznym będzie może przypomnieć ową surową krytykę, jakiej w swym czasie uległ Gounod, gdy na akompaniamencie preludjum Bacha swoją oryginalną wyśpiewał melodyą: takie spożytkowanie utworu mistrza uznano za profanację — a przecież owo preludjum jest to właściwie tylko watek harmonizacyjny, niebogaty w tematyce pierwszy wiatsek! Szopen, mistrz fortepianu, wyłonił się dopiero samostnie w dwóch koncertach E-mol i F-mol, wykonanych przez p. Michałowskiego z towarzyszeniem orkiestry. Nie będziemy się wdawali w szczegółowy rozbiór tego wykonania. Zyskało ono, jak zwykle, frenetyczne oklaski; wspomnimy tylko, że staranniejszy i lepiej wyuczony akompaniament orkiestralny do koncertu F-mol wpłynął na spokój gry fortepianowej i swobodniejsze rozwinięcie wirtuozowskiej świetności. Panna Siemianowska, uczennica konserwatorium (klasa p. Horbowskiego) zaśpiewała z wdziękiem naturalnym i przez to sympatycznym, cztery pieśni Szopena: „Pierścień“, „Życzenie“, „Bardzo raniuchno“ i „Pieszczotka“. Młodzianka śpiewaczka, obdarzona głosem niezbyt rozległym, ale mile bardzo brzmiącym, rzetelne na przyszłość rokuje nadzieje.

W parę dni po wieczorze poświęconym Szopenowi p. Piotr Maszyński wystąpił ze swym kompozytorskim koncertem, zebrawszy ku wykonaniu dzieł swoich liczne grono artystów i amatorów, oraz chóry mieszane i męzki chór „Lutni“. Młody kompozytor, pragnąc szerszemu kołu dać obraz

swej twórczej działalności, postąpił inaczej, niż to zwykli czynić inni, produkujący się kompozytorowie: zamiast bowiem jaknajskrupulatniej roztrząsać zawartość swej teki, wyłonił z niej i takie utwory, które zapewne sięgają daty pierwszych studyów i bardzo jeszcze młodocianych polotów. Jakkolwiek na tymczasowym koncercie znajdowały się dzieła wartości niezaprzeczanej, znamionujące postęp i dojrzałość twórczą, jednakże to ryczące zestawienie bardzo dobrego z bardzo miernym niekoniecznie wyszło twórcy na korzyść; przeciwnie, ponieważ osłabiło dodatnie wrażenia. W istocie nie-by program nie stracił, gdyby zeń wykluczono kwartet smyczkowy: „Tema z wariacjami“ i kilka chóralnych pieśni w tym rodzaju jak: „Szarlotka“, „Pieśń jesienna“, „Żółw i mysz“. Za to niektóre chóralne numery i solowe pieśni o formie nader wdzięcznej i mile w ucho wpadającej melodii, zyskały gorący poklask. Powabem i oryginalnością wyróżniły się: Serenada na chór męzki i solo tenor (p. M. Kotarbiński) z tow. fortepianu, ładnie wysnuta pieśń „Na stawie“ (Lutnia), melodye ludowe, opracowane na cztery głosy z wielką umiejętnością. Nie mniej doskonale brzmiało w chórze mieszanym „Ave Maria“ i „Piosnka cyganów“. Solowe pieśni, z których: „Zapóźnie“ i „Nie dam ci pereł“ nader udatne, znalazły znakomitą wykonawczynię w pani Helenie Weychert. Ogólny sąd, jaki wydamy o kompozytach p. Maszyńskiego, przeważa na stronę pieśni, i zdaje nam się, że w tym kierunku praca jego piękny plon wydać może; widocznie bowiem tutaj dopiero idzie praca wspólna z zamilowaniem i gruntowną znajomością rzeczy.

Wrażen najgłębszych dla uczuć i myśli, wrażen wykwintnych, które na długo w Warszawie zostaną, dostarczył nam koncert kompozytorski Władysława Żeleńskiego. Niejednokrotnie już na tem miejscu zaznaczaliśmy stanowisko wybitne, jakie twórca ten w sztuce naszej zajmuje. Obecnie, wciąż potęgująca się jego działalność, na szerszym świecie artystycznym znana i ceniona, przynosi nam plon świeży, obfity, złożony z kilku skończonych dzieł orkiestralnych oraz bogatych wyjątków z opery, które zapowiadają nam całość świetną. Nowo słyszane dzieła, jak wszystkie w ogóle kreacje Żeleńskiego, owiane są natchnieniem podniosłym i szlachetnym, przystrojenem w szatę kunsztowną. Stylowy „Gawot“ o przejrzystej, a pełnej barwy instrumentacji, „Marsz“, który w potężnej formie wypowiedział całą epopeję uczuć wstrząsających sercami i „Polonez“ wspaniały, oryginalny o zarysach szerokich, wśród których, jakby słodkie wspomnienia, przesuwają się piękna melodia: oto nowe utwory, które w pierwszej części koncertu dał nam kompozytor.

Drugą część wypełniły ustępy z „Goplany“. Śliczna introdukcja orkiestralna poprzedziła balladę Goplany, przerywaną odgłosami Skierki i Chochlika na tle chóru nimf leśnych. Cała ta scena muzyczna jest trzymana w charakterze bardzo poetycznym; przezroczy akompaniament orkiestralny i harfa, solową nutę wplatająca, nadają silny odcień fantastycznego rozmarzenia. „Piosnka Grabca“, to znowu swojska nuta, a świeża, na rytmie oberka, który wybornie od razu charakteryzuje tę postać. „Romans Kirkora“ wypowiada w uczuciowych frazach serdeczne pragnienia rycerza, który za lotem jaskółki dąży ku swej wybrance. Muzyka baletowa: „Uroczysty pochód“, „Krakowiak“ i „Mazur“ przedstawiły znowu nastrój chwil odmiennych; dwa ostatnie zwłaszcza numery, jako osnute na rytmie tak dobrze znanym, zadziwiły świeżością myśli i dobozem instrumentalnych efektów, w których Żeleński ani razu o dźwięk trywialny, pospolity nie potrafił. Trio w mazurze jest poprostu cudnym. Z dzieł dawniej znanych, rozbrzmiały: uwertura „Echa leśne“ i pieśni: Z noy letnich“, „Niepodobienstwo“, „Dziwne dziewczę“, „Zawsze i wszędzie“—pieśni te, wypieszczone dzieci muzy Żeleńskiego, przemówiły swą poetyczną, serdeczną mową.

W wykonaniu koncertu, oprócz orkiestry i chórów żeńskich, przyjęły udział panie: Dowiakowska, Babińska i Lewicka, pp. Chodakowski i Berini; częścią wokalną „Goplany“ dyrygował ze staniem i przejęciem p. Trombini.

Serdeczne, sympatyczne uczucia, jakimi nasze

miasto powitało Żeleńskiego, entuzjastyczny nastrój, który panował od początku do końca wieczoru, mile bezwzględnie zaznacza się w pamięci twórcy.

Juljusz Stattler.

Kronika działalności kobiecej.

— Dzienniki petersburskie donoszą o złożeniu w radzie państwa projektu komisji w sprawie wyższego wykształcenia kobiet.

— Rada państwa przyjęła wszystkimi głosami przeciwko jednemu projekt założenia w Petersburgu kobiecego instytutu lekarskiego, przy którym ma istnieć i internat. Otwarcie instytutu nastąpi po ostatecznym porozumieniu się ministrów oświaty i spraw wewnętrznych, oraz kontrolera państwa.

— Udzielonem zostało pozwolenie na otwarcie w Petersburgu handlowych kursów dla kobiet.

— Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności zaprosiło na honorowe opiekunki szwalni 5 panie: Zofię Makowiecką, Elżbietę Kijewską i Zofię Strzelicką; do zarządu weszły p. p. Marya Przanowska, Jadwiga Roztworowska i Józefa Szembowa.

— Zakład gymnastyki szwedzkiej p. Heleny Kuczalskiej zostanie otwartym wkrótce, bo dnia 15-go Marca, przy ulicy Oboźnej. Lekcyi udzielać będzie Szwedka, posiadająca dyplom centralnego instytutu gymnastyki w Sztokholmie. Lekarze: Kurtz, Holtz i Solman będą tu czuwać nad kierunkiem.

— Szkoła bon i piastunek, założona przez panie: Duszyńską Zofię i W. Wernerową, wkrótce otwartą zostanie: nauka, mająca trwać lat dwa, obejmie kształcenie się w metodzie Frebla, oraz nauczanie czytania, pedagogikę, higienę i dyatetykę dzieciinną, obok wiadomości z zakresu domowego gospodarstwa kobiety. Do oddziału piastunek przyjmowane będą dziewczęta siedemnastoletnie moralnego prowadzenia się, posiadające wykształcenie, jakie daje ukończenie dwuklasowych szkółek miejskich. Obznajmianie ich z przysłem zajęciem zawodowym ma trwać od 6 do 18 miesięcy. Opłata miesięczna w oddziale bon rs. 5, w oddziale piastunek rs. 3. Ze względu, że szkoła usuwać będzie bony cudzoziemki, żyć jej należy możliwie największego powodzenia, i to nie tylko z powodu, aby grosz nasz nie wychodził zagranicę. Jest rzeczą dowiedzioną, że dzieci, uczące się tak wcześnie obcych języków, źle się rozwijają umysłowo, bo umysł ich, pracujący nad zamiar natury w kierunku pamięciowym, nie będzie się rozwijał dostatecznie w zakresie wyrażania się pojęć i ztąd dziecko wielojęzyczne bywa zwykle mniej inteligentnem, niżby to wedle danych natury być mogło.

— P. Walerya z Pileczyńskich Wardzińska, ukończywszy studia lekarskie i obrawszy tu sobie jako specjalność choroby dzieci, otrzymała na konkursie wydziału lekarskiego w Strasburgu medal złoty za rozprawę o higienie niemowląt. Obecnie zamierza zdać egzamin na stopień doktora medycyny, poczem osiedli się w Warszawie z celem praktykowania.

— P. Z. Kosmowska, ukończywszy szkołę dentystyki w Genewie, osiedliła się w Warszawie z celem praktykowania.

— „Kurier Warszawski“ donosi, iż jedna z pań, mieszkanek naszego miasta, poznawszy, iż najmłodniejsza nawet praca szwaczki w wyjątkowych tylko warunkach pozwala jej zabezpieczyć sobie starość, zamierza wznieść schronienie miłosierne dla sędziwych i do pracy już niezdolnych szwaczek, oraz udzielać za pośrednictwem zarządu tej instytucji pomocy w naturze, lub pieniądzech se-

dziwym lub osłabionego zdrowia szwaczkom. Podanie o pozwolenie otworzenia zakładu już wniesionem zostało.

— P. Kaźmiera... ziemianka, zapytuje za pośrednictwem „Wieku“ nowy zarząd kolonii letnich dla słabowitych dzieci warszawskich: jakie będą w dalszym ciągu warunki przyjmowania dzieci na pobyt na wsi? Pomieszczenie jest tu rzeczą stosunkowo najłatwiejszą, ale utrzymanie sprowadza koszt, których nie każdy podjąć się może. Ona sama jest właśnie w położeniu takim, lecz mogłaby wziąć na zupełne utrzymanie jedną dziewczynkę między ósmym a dwunastym rokiem, z warunkiem przecież, aby to było dziecko nieco starszanniej wychowane, gdyż chce, aby mogło przebywać razem z jej pięcioletnią córeczką. Chętnie nawet zatrzymałaby ją u siebie nazawsze, ale w takim razie musiałoby to być dziecko z uboższych klas ludowych, gdyż nie mogłaby ponosić kosztu wyższego kształcenia dziewczynki, chyba w razie, gdyby objawiły się wyższe jakieś zdolności umysłowe, lecz i wtedy udać-by się musiała o pomoc do ludzi zamożniejszych, niżeli ona, i tylko początkowo sierotka uczyłaby się mogła wraz z jej córeczką. Gdyby przecież nie okazało się nic podobnego, zaena pani wychowywałaby ją na służącą lub szwaczkę, gospodynią, ogrodniczkę, do czego miałaby ochotę. Obok tego mogłaby być przyjęta na letni pobyt w jej domu szwaczka, niemająca w lecie roboty, a opłacająca utrzymanie swoje kilku jej godzinami. Redakcyja „Wieku“ odpowiedziała w imieniu Zarządu Kolonii, że ofiara zacnej pani, pragnącej czynić dobrze, ile może, została przyjęta z wdzięcznością.

— Uniwersyteckie kształcenie się kobiet spotyka się w Niemczech z oporem tak sfer zarządzających, jak i opinii publicznej. Petycje podawane do sejmu, deputacye zwracające się do osób wpływowych, nie tu nie przyniosły, i obecnie saski minister oświecenia odmówił żądaniu dopuszczenia kobiet do słuchania wykładów uniwersyteckich na zasadzie, iż rzecz nie jest bynajmniej potrzebną, ponieważ podział pracy musi istnieć i kobieta ma szeroki zakres działalności, tak w obrębie rodziny, jak i w pracy rodzinie te wspomagającej. Obok tego sztuka i literatura otwiera jej odwieczne podwoje swoje i w tym kierunku nie ciąży nad kobietą prawo żadnego ostracyzmu. Są też w Niemczech wyższe zakłady naukowe: „Victoria Lyceum“ i „Humboldt Academic“ gdzie kobieta może czerpać naukę o tyle wyższą, aby z jej pomocą mogła pracować korzystnie we wszelkich gałęziach odpowiadającej jej przeznaczeniu działalności. W Lipsku kobiety są dopuszczone do słuchania wykładów uniwersyteckich na mocy zgłoszenia się na to professorów wykładających, ale są one wyłącznie wolnymi słuchaczkami i wykładowcy nie przyjmują od nich zwykłej opłaty.

— Pedagog niemiecki, D-r Ernesti, poświęcający się szczególnie kształceniu kobiet, napisał i wydał broszurę, upominającą się o dokładniejsze i według obszerniejszego planu prowadzone wykształcenie kobiet z klas ludowych, a to ze względu, aby w rodzinach rzemieślników, robotników miejskich, prowadzonym było lepiej tak gospodarstwo domowe, jak i wychowanie dzieci. Praca kobiet w fabrykach nie tylko oddziaływała bardzo źle na ich moralność, ale chwytając kobietę od lat najmłodszych, często jeszcze w dzieciństwie, sprawia, iż nie zna się ona zupełnie na gospodarstwie domowym i nie prowadzi go tak, jak było dawniej, ale kupuje wszystko, poczynając od odzieży, aż do produktów spożywczych w stanie już gotowym, co podnosi niezmiernie koszt utrzymania rodziny i źle oddziaływa na zdrowie, zwłaszcza dzieci—upośledza rasę. Potrzeba też w imię najważniejszych interesów, nie tylko klasy pracującej, aby zakładano dla dziewcząt pracujących na zarobek od lat 14 do 17 szkoły tak gospodarstwa, jak i pedagogii i moralności, któreby przez kobietę matkę oddziaływały na pokolenia rosnące z jednej strony, z drugiej dała dorosłym klasom pracującym lepsze i uszlachetnione warunki życia. Broszura została przyjęta przez czytającą publiczność niemiecką bardzo poważnie, i dzienniki podnosząc wartość rad w niej zawartych, upominają się o szkoły dziewczęce „Haushaltungsschulen“, odpo-

wiadające poniekąd szkołom dla terminatorów: „Vorbildungsschulen“. Do tych szkół uczęszczają obowiązkowo chłopcy od lat 14-tu do 17-tu, i podobnie powinno być dla dziewcząt robotnic.

— Założony przez cesarową Fryderykową z pomocą i współudziałem cesarza zakład pilnowa-
czek chorych, „Victoria Haus“ oddaje Berlinowi niemałe usługi przy lożu złożonych cierpieniem ludzi klas wszelkich, szczególniej przecież uboższych. Obecnie 93 siostr Wiktorynek jest stale zajętych w berlińskich szpitalach miejskich żądają przecież ich pomocy i rodziny prywatne, wskutek czego kształci się w Berlinie do zawodu takich niemieckich sióstr miłosierdzia 130 dziewcząt w szkole, założonej przy domu zdrowia „Friedrichsheim“.

— Znana i wielce zasłużona filantropka niemiecka, Lina Morgenstern, napisała i ogłosiła drukiem rzecz, nie tylko pod względem praktycznym wiele dla kobiety pożyteczną: — Co mogą kobiety w utrzymaniu zdrowia rodzin? Mogą w związku z tem dać rodzinie szczęście i możliwość.

— D-r Marya Hall, Angielka, wygłosiła w Londynie a następnie w Plymouth, szereg odczytów z zakresu: „Psychologia i zdrowie“. Założeniem odczytów było zwrócenie uwagi zwłaszcza kobiet „matek, żon i wychowawczyń“ jak ważną tu rzeczą jest rozumne pojęcie tych interesów życia naszego, których nie wolno jest poddawać przedmiotnym przyjemnościom i zachęciom podrzędniejszego znaczenia. Kobieta z sercem i rozumem — kobieta umiejąca myśleć i czuć dobrze, nigdy nie poświęci zdrowia, tak swego jak rodzinami wychowania dzieci, dla względów pobocznych: dla próżności, chęci błyszczenia, chęci używania, w przekonaniu, że zdrowie to wielki skarb każdego człowieka, bo pozwala mu być czynnym, więc użytecznym członkiem społeczeństwa, gdy słabowity staje się tu pasywnym, karmiącym się pracą innych. Gdy to jest nieszczęściem, koniecznym wynikiem organizacji naszej, zasługujemy wtedy na współczucie ludzkie, które cofa się przecież od tych, co lekkomyślnie stracili ten drogi skarb życia. Gdy życie to jest rozumnie prowadzone, gdy w piersi naszej działają tylko moce uczuc szlachetnych, zdrowie rzadko bywa narażone na te wstrząsające wzruszenia, które go podkopuje, a przekonanie, żeśmy się trzymali prawej drogi obowiązku, dodaje siły i nie zgina tak w dół ramion, które dźwigają ciężary życia.

— Rada zarządzająca angielskiej prowincji, hrabstwa Devonshire, zwróciła się do *Narodowego Stowarzyszenia Zdrowia*, prosząc, aby przysłano im kilka pań, zdolnych do oświecania przez publiczne odczyty wiejskiej ludności miejscowej w kierunku przedmiotów, mających związek ze zdrowiem ludzkim. Układ życia, odpowiadający nie tylko wymaganiom higieny, ale i środkom materialnego mienia, mieszkanie, użytek czyniony z czasu, odżywianie się, sen, wychowania dzieci, ubiór, a szczególnie obliczanie się także z posiadaniem mienia, aby pozory dostatku nie pochłaniały tego, co powinno iść na podtrzymywanie sił u starszych i dobry ich rozwój u młodszych — to były przedmioty, traktowane przez prelegentki, a wykładów słuchały nie tylko kobiety klas niższych, gdyż wszystkie panie z okolicy bywały na nich, tak dla zdobycia pożytecznych z zakresu tego wiadomości, jak i dla przykładu. Projekt odczytów wyszedł od miss Lancaster, sekretarki *Stowarzyszenia Zdrowia*.

Z bieżącej chwili.

— W Petersburgu organizuje się kommissya złożona z przedstawicieli zarządów ziemskich i innych instytucji miejscowych w celu zabezpieczenia zapasów zboża, pozostałych w magazynach ziemstw po zaspokojeniu potrzeb ludności, dla której zapasy były przeznaczone.

— Dzienniki petersburskie podają do wiadomości ogółu, iż mylnymi są doniesienia, podane poprzednio przez niektóre źle poinformowane organa prasy jakoby bilety bankowe starego typu miały stracić wartość od d. 13 Maja roku bieżącego. Bilety te pozostaną w obiegu przy dawnym kursie po dzień 13 Stycznia 1893 r. W Petersburgu, jak donoszą dzienniki tamtejsze, pokazało się w obiegu wiele fałszywych banknotów dziesięciorublowych.

— Według sprawozdania wileńskiego przytułku noclegowego przy *Domu Biednych* nocowało tam w przeciągu roku 37.687 osób, co znaczy więcej niżeli 100 na dobę. Wilno posiada 100.000 ludności, zatem ludność pozbawiona własnego domu zdaje się stanowić około 1% procent, przecież w rzeczywistości liczba tylko biedaków jest o wiele większą, gdyż *Dom Biednych* nie może pomieścić wszystkich zgłaszających się tutaj i około 75% odechodzi od jego bramy. W domu *Dieciątka Jezus* chowa się 557 dzieci, w przytułkach dzieci-
nych 185. Wileńskie *Towarzystwo Dobroczynności* mieści 390 starców i kalek; przytułek *Domu Miłosierdzia* mieści 50 osób; jest ich tyleż w przytułku przy szpitalu Ś-go Jakuba, w ochronie katolickiej 12, ewangelickiej 25, w żydowskiej „Talmud Tora“ 90; w innych dobroczynnych zakładach 203 osób. Razem wileńskie zakłady miłosierdzia utrzymują 1.574 osób, co stanowi około 1% procentu ogólnej liczby mieszkańców.

— *Dom Zamówień*, otworzony przed rokiem w mieście naszym z celem pośredniczenia w nabywaniu towarów dla sklepów prowincjonalnych w gatunkach najlepszych i po cenach możliwie niskich, obok udzielania tymże sklepom rady dobrej i objaśnień potrzebnych, oddziałal bardzo pomyslnie na ruch handlowy prowincyi. Powstało już bowiem wskutek tej inicjatywy w miasteczkach, osadach i wsiach kilkadziesiąt sklepów, założonych przez ludzi rzetelnych, ludzi dobrej woli, którym przedsięwzięcie podjęte opłaca się dostatecznie. Rozwijają one przytem działalność bardzo pożyteczną, broniąc, zwłaszcza lud wiejski, od wyzysku dawnych handlarzy małomiasteczkowych. *Zorza* zamieściła sprawozdanie ze stanu tych sklepów i ich ruchu handlowego w roku ubiegłym, wykazując, że wszystkie one powstały przy bardzo małym kapitaliku, nie przenoszącym po większej części kilkunastu rubli; wszystkie miały do zwalczania konkurencją sklepów dawniejszych handlarzy, wszystkim przecież powiodło się szczęśliwie, co wykazuje najdokładniej sprawozdanie *Domu Zamówień*. Handel zamiejscowy przyniósł obrotu 3.102 rs., ogólny zaś 85.180 rs. Kapitał zakładowy przedstawiał 5.570 rs., czysty zysk dał 844 rs. czyli 15 procent.

— Wyszedł „Przewodnik po Warszawie“ p. Wiktora Czajewskiego. Ułożony on jest alfabetycznie, a jakkolwiek znajdują się tu pewne usterki, usprawiedliwić je można przez mnogość szczegółów. Przewodniki dawne: Wejnerta, Sobieszczań-
skiego i innych, już się stają obecnie rzadkością, ten więc ma prawo bytu, zwłaszcza jeżeli wyjdzie wkrótce wydanie drugie, usuwające błędy.

— P. Michał Stronczyński, były nauczyciel szkół rządowych, zamierza otworzyć szkołę poświęconą specjalnie przygotowywaniu uczniów gimnazyów klasycznych i wyższych szkół realnych do zdawania egzaminu dojrzałości w tychże gimnazyach wyższych i szkołach realnych.

— Osoby pragnące wziąć udział we wszechświatowej wystawie amerykańskiej w Chicago i otrzymać jej program, blankiety, oraz faktury, powinny się zgłosić do biura warszawskiego gubernatora na Krakowskim Przedmieściu codziennie od godziny 12-tej do 3-ciej popołudniu, a w Niedzielę i święta do godziny 12-tej. Narada przemysłowców w tej sprawie odbyta będzie.

— Sprawozdanie Warszaw. Tow. Muzycznego nie przedstawia się pomyślnie, gdyż wydatki przewyższają dochody. Wieczory większe chybiały, mniejsze dały 772 rs. Bilans wykazuje w stanie czynnym 16.567, w biernym 17.073 rs. Fundusz na budowę własnego gmachu przedstawia 5.055 rs.

— Opera *Żeleńskiego Goplana*, z której koncert tego artysty przedstawił ustępy: introdukcję, piosenkę Grabea i romans Kirkora, oraz pierwszą scenę pierwszego aktu, gdy Goplana, otoczona chórem nimf, wypływa z wód jeziora na liściu nenufara i przywoławszy Skierkę i Chochlika opowiada im miłość swoją, ma aktów cztery. Libretto skomponował prof. German według poematu Słowackiego *Balladyna*.

— Lwowskie Tow. Sztuk Pięknych urządza wystawę szkiców malarzy i rzeźbiarzy. Szkice sprzedawane będą na korzyść artystów po potrąceniu 5 lub 10% od kwoty uzyskanej na rzecz Tow. Sztuk Pięknych. W roku ubiegłym sprzedano tu na wystawie szkiców dzieł za 2.634 zł. reń.

— Na fundacyą szpitala we Lwowie i domu nieuleczalnych zapisał sędziwy obywatel tamtejszy, który już czynił był na rzecz szpitala i domu nieuleczalnych we Lwowie znaczny zapis, dodatkowo 30.000 zł. reń.

— Dyrektor gimnazjum w Kołomyi, Teodor Biłous, zapisał trzypiętrową kamienicę na *Przytulisko żeńskie*, gdzie za niską opłatą kształcić się będą dziewczęta sieroty z Kołomyi i okolie darmo, lub za niską opłatą, otrzymując obok nauki pomieszkanie i jedzenie.

— Londyńskie czasopismo *Daily Graphic* zamieściło kopie pięciu obrazów Jana Chełmińskiego, zamieszkującego Londyn. Otrzymał on zamówienie na seryą obrazów z zakresu polowania, wśród których ma być portretowany książę Walii. Obrazy te przeznaczone są do jego galerii.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się Arkusz 6-ty powieści pod tytułem: **Omyłka**, przez R. Norrisa. Przekład z angielskiego.

TREŚĆ: Pogawędka, przez Quisa. — **Kobiety irlandzkie**, przez M. I. (dokończenie). — **Pierzochchliwy ptak** powieść, przez Kazimierza Glińskiego. — **Ruch muzyczny**, przez Juliusza Stattlera. — **Kronika działalności kobiecej**. — **Z bieżącej chwili**. — **Ogłoszenia**.

Dodatek obejmuje: Arkusz 6-ty powieści, pod tytułem: **Omyłka** przez R. Norrisa. Przełożona z angielskiego. — Przegląd mód. 32 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr. 66.

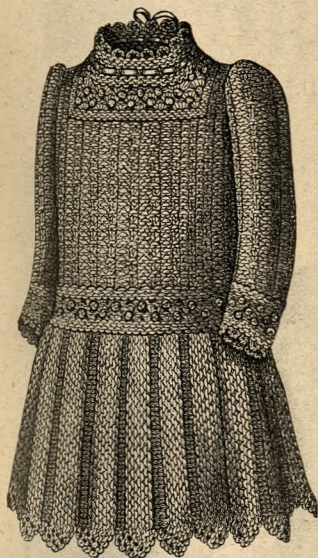
Дозволено Цензурою. — Варшава, 26 Февраля 1892 г.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

PRZEGLĄD MÓD.

Bielizna.—Bielizna w składzie żyrardowskim.—Biała haftarnia modelowa pani Kwiatkowskiej, pod firmą: „au bon travail.“ — Wachlarze. — Reklama na drogach Wiedeńskich.

W zimie kochają się małżeństwa, szykują wyprawy a więc wspomniemy o bieliznie, którą dziś mamy, dzięki pierwszorzędnym zakładom bielizny tak ładną, że doprawdy i w Paryżu ładniejszej nie znajdzie, może



Nr 1. Spódniczka wykonana na drutach od 1—3 lat.

tylko z powodu taniości koronek więcej i taniej będzie garnirowana. O kolorowej mówiliśmy w przeszłym przeglądzie, mówiąc o wielkim wyborze tych materiałów a mianowicie: o cenach bardzo przystępnych w składzie p. Heurich, jednak pomimo iż kolorowa jest modną i miłą, jednak do wyprawy biała ma zawsze pierwsze miejsce i pomimo iż za granicą noszą bawełnianą, my z naszymi przyzwyczajeniami nie zmieniamy się i zawsze do lnu ciągnąć będziemy. Naturalnie, chcąc widzieć nowe fasony zwiedziliśmy zakład żyrardowski, znając ten ogrom wyboru bielizny, tam zawsze na składzie będący. W fasonach dziennych ko-



Nr 2—5. Rękawy do sukien. (Opis odwr. str. tabl.).

szul mało zmian, zawsze karczki lub szerokie paski, zawsze bez lub małe rękawki, ale co za fantazja w wykończeniu, co za garnirowania, co za hafty, wszywki, koronki, i imitacje i prawdziwe, i grubsze i cienkie, i mocne do magła i delikatne, tylko do prasowania! W nowych więcej zmian, są fasony z całymi lub tylko pół karczkami na plecach, są inne ułożone w tyle w trzy kontrafałdy zeszyte wewnątrz i wszyte w górze w pasek podwójny, garnirowany haftowaną falbanką, przód ułożony w proste lub poprzeczne zakładki, stębnowane, przedzielane wszywkami i t. p. Rękawy najczęściej do wsunięcia ręki, bo zapinać na guziki to za nudne, człowiek jest w każdym razie leniwym i choćby najmniejszą pracę chętnie zrzuci z siebie, a guziki pozapinać



Nr 7. Suknia wieczorowa z bengaliny i aksamitu.

Nr 8. Suknia wieczorowa z aksamitu i jedwabnej krepy.



Nr 6. Suknia z sukna i aksamitu ozdobiona haftem (do ryc. Nr 9).



Nr 9. Tylne części sukni do ryc. Nr 6.

Wszak to praca! Sliczną inną bieliznę pokazywano nam, jak: majteczki, staniczki a w końcu wspaniałe prześcieradła i poszewki. Aby bielizna była zupełnie wykończona, potrzeba ją ozdobić haftem, i to jest główniejsza nawet ozdoba jak koronki, i to haftem atłaskowym, który dawno zawsze trzymał i trzyma pierwszeństwo przed wszelkimi łańcuszkowymi i maszynowymi, gdy idzie o bieliznę białą a wykwiutną. Na-



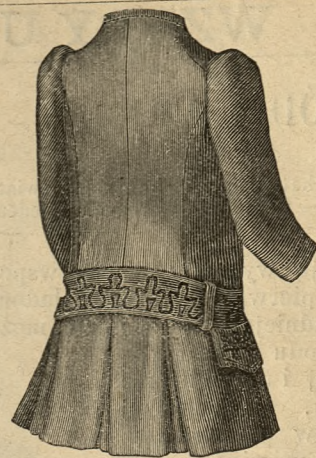
Nr 17. Suknia z kaszmiru ozdobiona haftem z kamieni.



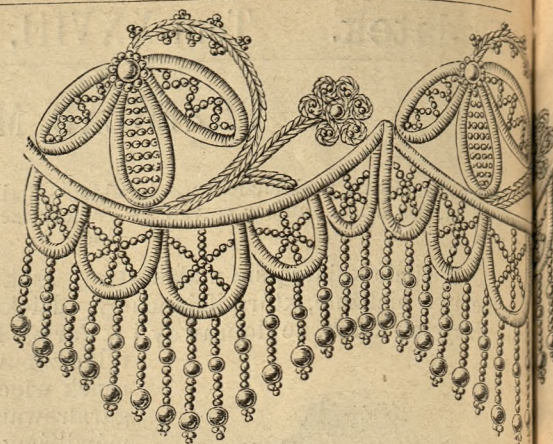
Nr 21. Napiersnik z „surah“ i koronki.

turalnie, iż haftarnia panny Bobrowskiej zdobiąc całą naszą toaletę i całe otoczenie haftami różno-kolorowemi nie może się ograniczyć na jednolitym haście atłasowym, tam gdzie wchodzi tyle różnorodnych materiałów, tam nie może być mowy o tem, ale na bieleźnie, gdzie białoponsowa i granatowa bawełna miejsca tylko miejsce, tam artystyczny haft wydaje się w całej pełni swej piękności. Otóż przedstawicielką takiego haftu jest w Warszawie pani Kwiatkowska, (Nowy-Swiat Nr 33), której haftarnia jest pod dobrą nazwą „Au bon travail“, nagrodzona na wystawie pracy kobiet w 1889 r. złotym medalem za przedstawione hafty, prowadzi swą haftarnię tak, iż robione przez nią, z pewnością o lepsze ze szwajcarskimi i francuskimi iść mogą. Monogramy wyrażające całe imiona lub emblematy wykonane tak artystycznie, że trzeba widzieć, aby uwierzyć, że to ręka kobieca wykonała. Nie rozumiemy doprawdy, żeby za tak bajecznie niską cenę można wykonać podobną robotę; ale pani Kwiatkowska słusznie mówi, iż wszyscy mamy tak mało pieniędzy, iż nie śmie żądać wyższej płacy. A jednak tak haftowana bielizna inny ma pozór, inaczej się uważa i inaczej oszczędza.

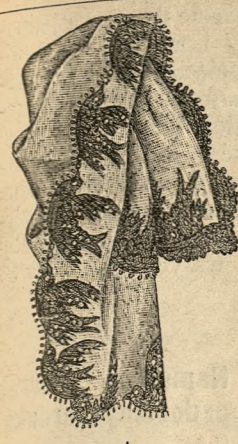
Pomimo, iż w zimie nie gorąco, więc wachlarze mniej są w użyciu, jednak do salonu



Nr 10. Tylna część sukni do ryc. Nr 20.



Nr 11. Ozdoba z pasmanterii (do ryc. Nr 20).



Nr 12. Żabot z jedwabnej krepy.



Nr 13. Szeniżetka do bluzki. (Krój i op. odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 49—51).



Nr 14 i 15. Spódnica (Kr. i op. pierw. str. tabl.).



Nr 19. Ubranie dla chłopczyka od 8—10 lat. (Krój i opis pierw. str. tabl. Nr III, fig. 15—21).

Nr 20. Suknia dla chłopczyka od 2—3 lat (do ryc. Nr 10). Kr. i de- seń pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 22—25.

zawsze są potrzebne, w teatrze nawet dziś się można obejść bez nich, gdyż w naszym pięknym wielkim wentylacja jest tak urządzona, że jeszcze nigdy nikomu gorąco nie było, tembardziej, że wszyscy chodzą lekko ubrani i bez kapeluszy. Jeżeli bowiem we wszystkich stolicach Europy to jest prawem obowiązujące, dla czegożby polki jedne nie uznały tej swojej własnej w tym kierunku korzyści! są nawet damy tak mało znające świat, iż w teatrze lub na koncercie nie zdejmują woalki, której zadaniem jest ochrona



Nr 22. Suknia wieczorowa z „faille“ i aksamitu.



Nr 16. Fartuszek dla panienki od 11—13 lat. (Krój odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 52 i 53).

zakończona kilkoma pukielkami, nad którymi sterczała śliczna szpilka złota z szafirem, nie, — tak uczesać umie tylko pan Eugeniusz, rozszerzający ciągle swój zakład na salony i saloniki, na magazyn sprzedaży, gdzie wszystkich najlepszych i najwyczajniejszych kosmetyków dostać można, oraz na czesalnie dla dzieci, dam a nawet panów, chociaż to ostatnie uważamy za niepotrzebne, ale coś robić, gdzie są damy muszą się znaleźć i panowie, którzy robią reklamę zakładowi. Co do reklamy, to przychodzi mi na myśl, jak my jesteśmy zacołani pod tym względem, nie mówię już o Ameryce lub Paryżu, ale nawet w porównaniu z Wiedniem. Otóż za Wiedniem z której-bądź strony dojeżdżasz lub wyjeżdżasz z niego, wszędzie na przestrzeni dwóch mil prawie spotykasz płoty, tablice, a o ile są, domy wypełnione ogłoszeniami i to od najwykwintniejszych przedmiotów toalety aż do najpodrzedniejszych, o żelaztwie, kaflach, garnkach, cegle i t. p. Gdzie nie ma parkanu lub domu, tam stawiają na podstawach oparte sztyldy wprost oddzielnie, przy drodze zaraz za przedziałem dzielącym drogę od pola, tak, iż mijając w szybkim nawet pędzie, nie podobna aby podróżnemu nie wpadł w oko łokciowych liter napis, co i gdzie dostać może. Jechałam taką drogą w różnych kierunkach i zaprzestać wykrzykników jeszcze! jeszcze! napisy, nie mogłam. Cóż to musi być w Ameryce, która słynie z reklam.

Lucyna Cwierzakiewicz.

Suknia wieczorowa z bengaliny i aksamitu.

Rycina Nr 7.

Suknia z bengaliny „gris perle“, skrajana formą „princesse“ z przybraniem i rękawami podług ryc. z aksamitu koloru miedzianego lub innego.

Suknia z aksamitu i jedwabnej krepy.

Rycina Nr 8.

Suknia z różowej jedwabnej krepy, przybrana aksamitem koloru ciemno-zielonego, takież stanik i tren oddzielnie przypinany, ponieważ spódnica jest okrągłą do koła.

od wiatru i ostrego powietrza; powtarzam więc, że wachlarz zawsze jest potrzebny, choćby jak mówi francuz „pour avoir du main-tien“, aby coś w rękę trzymać, otóż śliczne wachlarze, ale to piękne jak marzenie widzieliśmy u pani Golińskiej, pod teatrem, gdzie prawdę mówiąc, widzieliśmy tyle rzeczy pięknych, jak w pierwszorzędnym tego rodzaju sklepach w Paryżu. Wachlarze są na różne ceny i z różnymi obrazkami. U pani Hałaczkiej są dwa, tak zwane królewskie, z powodu swej ceny; są to dwa wachlarze oprawne w szylkret i kolorową perłową macię w szykrecie osadzone czarne strusie pióra a w perłowej masie białe, ale co za pióra, kłękające narody, jak mówi nasz ludek. Za jednym z takich malowanych wachlarzy widzieliśmy ślicznie uczesaną główkę pewnej blondynki, naturalnie przez pana Eugeniusza, więc po grecku, bo on się ściśle tej mody trzyma. Nie było żadnej przepaski z przodu, ale tylne włosy zwinięte w kłębek, z którego wybiegały małe loczki otaczała przepaska srebrna z galonu,

Nr 18. Ubranie do gimnastyki. (Krój i opis pierw. str. tabl. Nr II, fig. 7—14).



Nr 23. Przybranie stanika pasmanteryą i perłami (do ryc. Nr 11).

Suknia wieczorowa z aksamitu.

Rycina Nr 15 i 6.

Suknia z aksamitu koloru granatowego z trenem trochę powłóczystym, podszyta całą jedwabnym materiałem tegoż koloru. Pasmanterya z perełek błyszczących metalowych w kolorze odpowiednim do aksamitu.

Fartuszek dla panienki od 11—13 lat.

Rycina Nr 16. (Krój odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 52 i 53).

Fartuszek z materiału bawełnianego koloru ponsowego w białe rzucane grochy. Dolny brzeg ma 160 c. obwodu a długość fartuszka 55 c., otoczony w dolnym brzegu falbanką marszczoną 10 c. szer. Przyszyć teże pokryte wypustką białą. Górny brzeg zmarszczyć na 65 c. szer. i wszyć w pasek z wypustką 2½ c. szer., przyczem umocować taśmy z materiału 7 cent. szer. a 57 c. dług. Pasek tak samo wykończony wypustką i naramienniki 9 c. szer. Fartuszek zapinany z tyłu.

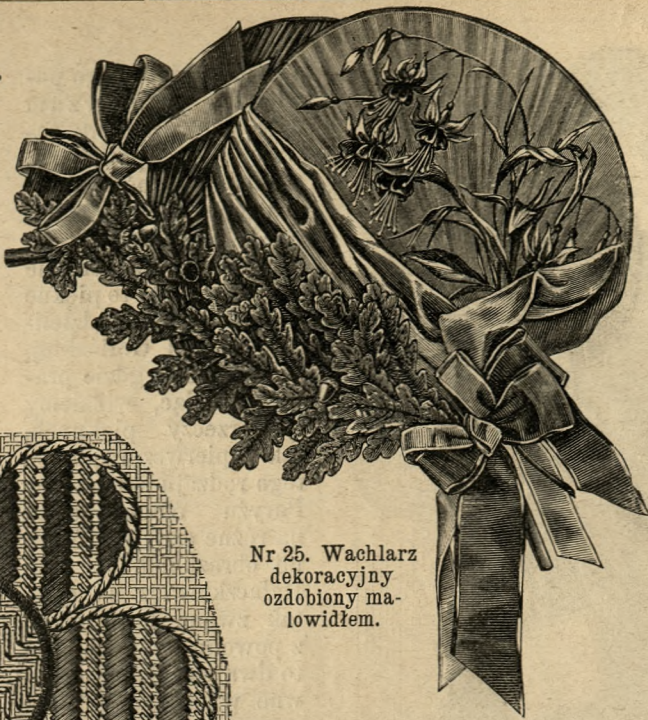
Suknia z kaszmiru ozdobiona kamieniami.

Rycina Nr 17.

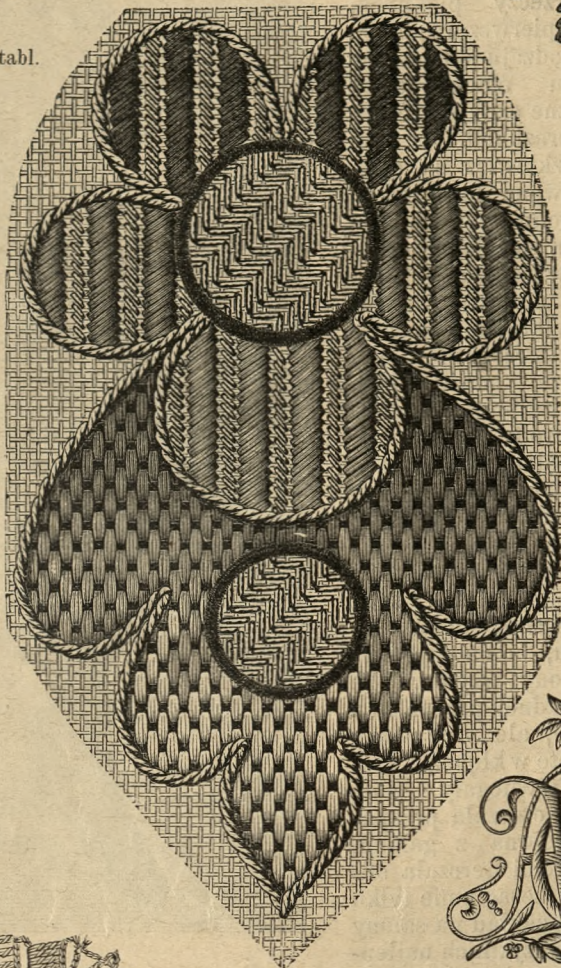
Suknia z kaszmiru, koloru „terracota,”



Nr 24. Monogram.



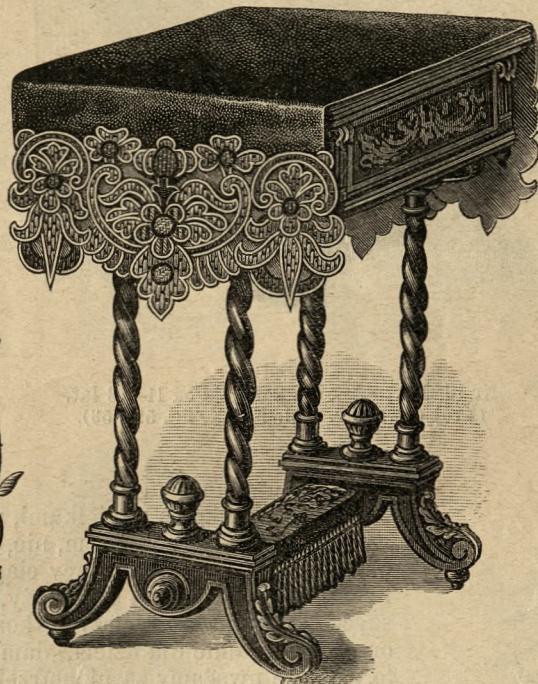
Nr 25. Wachlarz dekoracyjny ozdobiony malowidłem.



Nr 27. Figura haftowana do ryc. Nr 29.



Nr 28. Monogram.



Nr 29. Serwetka na stoliczek do roboty ozdobiona haftem (do ryc. Nr 27). Deseń pierw. str. tabl. Nr V, fig. 26

ozdobiona czarnym aksamitem i pasmanterią z kamieni, naśladowujących prawdziwe.

Suknia dla chłopczyka od 2—3 lat.

Rycina Nr 20 i 10. (Krój pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 22—24).

Sukienka z sukna granatowego, ozdobiona sutaszem i zaopatrzona podszewką z tegoż koloru materiału jeowabnego. Skrajać z materiału i z podszewki fig. 22—24 (po dopełnieniu w pierwszej złożeniu) po dwie części. Fig. 25 z uwzględnieniem konturu górnego brzegu spodniej części rękawa. W obydwóch przednich częściach wykonać nacięcia na kieszenie, oraz w lewej nacięcie podłużne. Wszyć kieszenie, do prawego brzegu przyszyć listwę z guzikami a do lewego odpowiednią z dziurkami. Wykonać szew od 68 do 69. Przednie części zeszyć od 66 do 67, pokryć zeszyte haftem należącym do fig. 22, sutaszem tegoż samego koloru.

Umocować w fałdy każde dwa ¼ na jednej kropce. Połączyć plecy i przednie części podług cyfr i wzdłuż wycięcia szyi wystębnować. Klapki ozdobić haftem, przyszyć takowe od 80 do 81 wzdłuż linii a w miejscu oznaczonym * przyszyć pentelki z materiału do przewlekania paska. Pasek szer. 6 cent. a dług. 80 wykonać z sukna podwójnie złożonego i odpowiednio ozdobić sutaszem. Rękawy po wykończeniu wszyć, trafiając w 85 na 85.



Nr 26. Monogram.

Rycina Nr 21.

Napierśnik z surah ozdobiony koronką.

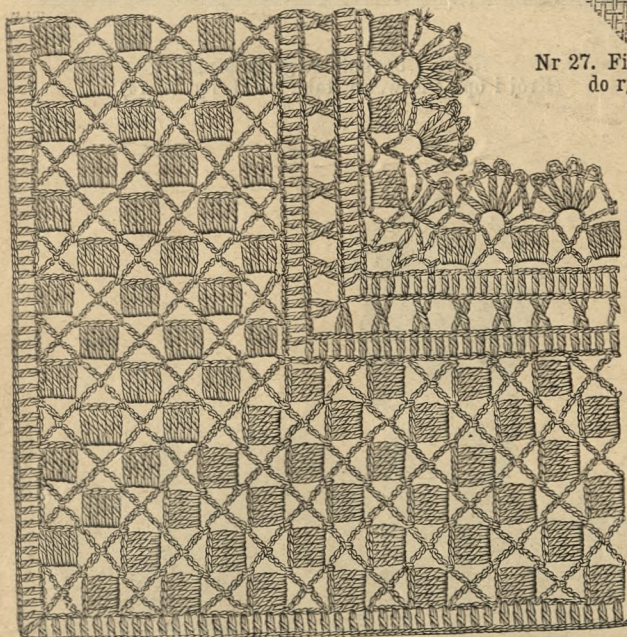
Napierśnik z surah koloru żółtego, zmarszczony podług ryciny i przybrany koronką w duże zęby, która tworzy rodzaj karczka w górze i rodzaj paska w dole. Koronka koloru „crème.” Rękawy odpowiednio podług ryc. przybrane.

Obiad na Niedzielę.

1. Purée z drobiu, czyli zupa „à la reine.”
2. Paszteciki we francuzkiem cieście.
3. Szynka z kasztanami „purée.”
4. Jarzabki z kompotem.
5. Krem „crème boullée.”

U W A G A.

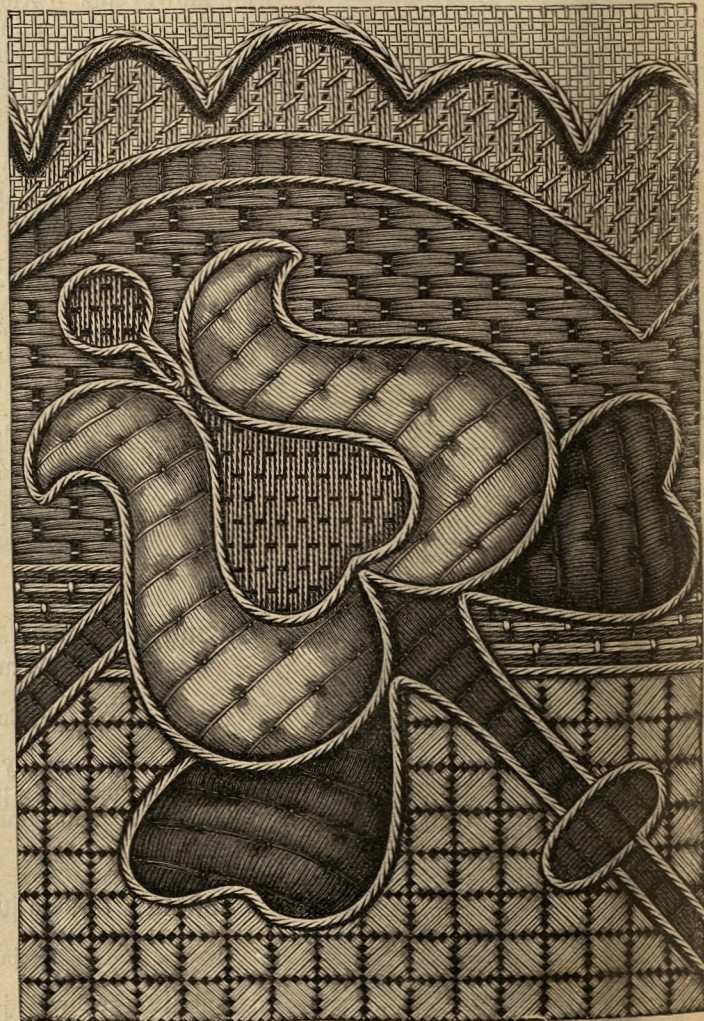
Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów, odnosząca się do wzorów w tym i w przyszłym numerze Bluszczu podać się mających.



Nr 30. Wstawka wykonana szydełkiem do ozdoby koszul, fartuszków dzieciennych, poszewek i t. p.



Nr 31. Poduszka. (Ścieg płaski i wypukły) do ryc. Nr 32. (Deseń odwr. str. tabl. Nr X, fig. 54).



Nr 32. Część haftu do poduszki ryc. Nr 31 (wielkość oryginału).